Edgar Allan POE

TAJEMNICA MARII ROGÊT

koliber



EDGAR ALLAN POE

TAJEMNICA MARII ROGÊT

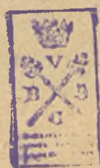
Opowiadania

Tłumaczył S. Wyrzykowski



Książka i Wiedza - 1970

Redaktor T. Abraszewska
Zdjęcie CAF



Printed in Poland

Zagłada Domu Usherów

Son coeur est un luth suspendu;
Sitôt qu'on le touche il résonne.

(de Beranger)

Przez cały mroczny, głuchy i smętny dzień jesienny, pod ciężką posową obłoków, co wlokły się nisko po niebie, nie opuszczałem siodła przebiegając samotnie na koniu dziwnie zamarłą połać kraju i dopiero z nastaniem wieczornych zmierzchów ujrzałem przed sobą posępny Dom Usherów. Gdy po raz pierwszy zamajaczył mi przed oczyma, targnęła mą duszą — sam nie wiem, dlaczego — nieuskromiona żałość. Powiadam: nieuskromiona, bowiem uczucia tego nie koiły owe na wpół rozkoszne, gdyż spowite poezją wrażenia, jakich zazwyczaj doznaje umysł na widok najgroźniejszych przejawów okropności i spustoszenia. Patrzyłem na roztaczającą się przede mną widownię — na dom i pospolite zarysy krajobrazu całej włości, na żałobne mury, na okna, zgasłym podobne źrenicom, na kępy drętwego sitowia, na białe pnie obumarłych drzew — z bezgranicznym przygnębieniem, do którego z odczuwań ziemskich żadne

snadniej przyrównać się nie da od wrażeń nałogowego palacza opium, gdy budząc się, zaprzepaszcza się znów z goryczą w szarzyźnie życia, kiedy obmierzła zapadnie zasłona. Zlodowaciała, zniżyła się, omdlała dusza — potępieńczym zrozpaczeniem przepoiła się myśl, której żadna tortura wyobraźni ku niczemu wzniosłemu pobudzić nie mogła. Dlaczego — przystanąłem w zamyśleniu — dlaczego czuję się tak nieswój, spoglądając na Dom Usherów? Była w tym nieodgadniona tajemnica; na próżno pasowałem się z upiornymi zwidywaniami, co naprzykrzały się mej zadumie. Musiałem poprzestać w końcu na bynajmniej niezadowalającym wniosku, iż w przyrodzie istnieją snadź zestawienia najpospolitszych przedmiotów, którym dana jest moc oddziaływania na nas w ten właśnie sposób, jednakowoż zbadanie tej mocy należy do dziedziny niedostępnych już dla nas tajni. Jest rzeczą możliwą — myślałem sobie — iż dość jest zmienić rozmieszczenie części składowych jakiejś widowni lub szczegółów na jakimś obrazie, by się przekształciła lub snadź nawet zupełnie zanikła ich zdolność wywoływania smutnych wrażeń; rozsnuwając ten pomysł, skierowałem mego konia na urwiste zbrzeże czarnej, zasępionej topieli, co roztaczała wokół domu zastygłe w bezruchu zwierciadło, i z dotkliwszym jeszcze niż poprzednio drżeniem spoglądałem na odbite w niej, przeinaczone obrazy szarego sitowia, upiornych pni drzewnych tudzież zgasłych niby źrenice okien.

A jednak w tym przybytku żałości zamierzałem

spędzić kilka tygodni. Właściciel jego, Roderyk Usher, należał ongi do najmilszych towarzyszy mojego dzieciństwa, nie widzieliśmy się wszakże już od lat wielu. Dopiero przed niedawnym czasem, gdym przebywał właśnie w odległych stronach, doręczono mi jego list, w którym z niezwykłą natarczywością domagał się tylko ustnej odpowiedzi. W piśmie widniały oznaki podniecenia nerwowego. Skarżył się na obłożną chorobę ciała, na dolegliwy rozstrój duchowy — i oczekiwał mnie z najgorętszym upragnieniem jako swego najlepszego i jedynego druha, spodziewając się, iż pogodne me usposobienie może wpłynąć kojąco na jego niedomaganie. Sposób, w jaki pisał o tych i innych jeszcze rzeczach, tudzież nie tajony, błagalny odzew serca nie pozwalały na zwłokę; usłuchałem też natychmiast tego osobliwego wezwania.

Jakkolwiek w dzieciństwie łączyła nas ścisła zażyłość, niewiele wiedziałem o mym przyjacielu. Powodował się zawsze przeczuloną, wrodzoną skrytością. Słyszałem atoli, iż starożytny jego ród już od niepamiętnych czasów słynął z wyjątkowej wrażliwości usposobienia, co przez długie wieki znajdowała ujście w mnogich dziełach szczytnego artyzmu, w ostatnich zaś latach przejawiała się równie często w uczynkach wielkodusznego i nie dbającego o poklask miłosierdzia, jak w namiętnym zamiłowaniu do niedocieczonych snadź raczej niż powszechnie uznanych i łatwo dostępnych piękności wiedzy muzycznej. Mówiono mi również

o nader znamiennej okoliczności, iż czczony po wszystkie czasy szczep rodu Usherów nie wydał nigdy trwalszego odgałęzienia, czyli że cała rodzina wyprowadzała się tylko w linii prostej i że z wyjątkiem nader nieznacznych i krótkotrwałych odstępstw bywało tak zawsze. Rozważając w myśli doskonałą zgodność, zachodzącą między charakterystycznymi cechami włości a znanymi powszechnie właściwościami rodu, oraz zastanawiając się nad możliwością wpływów, jakie w przebiegu wieków ziemie te mogły wywrzeć na swych właścicieli, zrozumiałem, dlaczego ów brak bocznych linii i — co za tym idzie — nieodmienne przenoszenie się imienia i dziedzictwa z ojca na syna wytworzyły między jednym a drugim tak ścisłą łączność, iż pierwotne miano posiadłości zanikło w pomysłowej i dwuznacznej nazwie: „Dom Usherów" — która w rozumieniu posługującego się nią ludu zdawała się obejmować zarówno ród, jak i jego siedzibę.

Wspomniałem już, iż jedynym następstwem mojej nieco dziecinnej zachcianki, by rzucić okiem w głąb topieli — było pogłębienie pierwotnego, dziwnego wrażenia. Przeświadczenie o szybkim wzroście mej zabobonnej trwogi — bo i czemuż nie mam określić jej tym słowem? — przyczyniło się niewątpliwie do przyspieszenia tegoż wzrostu. Jest od dawna mi znane, paradoksalne prawo wszystkich odczuwań wynikających z trwogi i snadź jego było to dziełem, iż wzniósłszy oczy ku domowi od jego odbicia w toni, uległem szcze-

gólniejszemu przewidzeniu — przewidzeniu istotnie tak śmiesznemu, iż wspominam o nim jedynie na dowód przemożnego nasilenia gnębiących mnie wrażeń. W rozkiełznaniu wyobraźni zwidziało mi się, iż włość i zabudowania spowija właściwa im oraz najbliższemu ich otoczeniu atmosfera — atmosfera nie mająca nic wspólnego z powietrzem przestworów, lecz podnosząca się ze spróchniałych drzew, szarych ścian i głuchej topieli zatrutym, mistycznym wyziewem, ponurym i stężonym, o ledwo widocznym zabarwieniu ołowiu.

Otrząsając się z tych sennych rojeń, bo przecież nie mogło to być nic innego, jąłem zastanawiać się dokładniej nad rzeczywistym wyglądem budynku. Świadczył on przede wszystkim o niesłychanej starożytności. Wyblakły doszczętnie ściany w przebiegu wieków. Od zewnątrz omszały drobnym porostem, zwieszającym się z rynien misternie splecioną tkanką. Pomimo to nie było widać wyraźniejszych oznak zniszczenia. Nie waliły się nigdzie mury, jakkolwiek niepożyta ich krzepkość pozostawała w osobliwszej sprzeczności ze zwietrzałością poszczególnych cegieł. I przyszły mi na myśl owe stare wiązania drzewne, co butwiejąc od dawna w zatęchłym, nie przewietrzanym podziemiu, zachowują do czasu pozory trwałości. Wszelako te ślady spróchnienia nie nadawały bynajmniej budynkowi wyglądu ruiny. Być może, iż oku bacznego widza nie uszłaby jeszcze zaledwie widoczna rysa, co poczynając się od dachu, zbiegała w dół, na przedniej ścianie domu zygzako-

watą znacząc się linią, i w wodach mętnej ginęła topieli.

Pogrążony w tych spostrzeżeniach minąłem krótką groblę i zatrzymałem się przed domem. Oczekującemu tam pachołkowi oddałem mojego konia i wszedłem pod gotyckie sklepienie przedsionka. Cichym krokiem podbiegł ku mnie służący i mrocznymi, krętymi korytarzami poprowadził w milczeniu do komnaty swego pana. Wszystko, co spotykałem po drodze, przyczyniało się, nie wiadomo czemu, do spotęgowania wspomnianych już przeze mnie nieujętych wrażeń. Aczkolwiek otaczające mnie przedmioty — te rzeźbione stropy, te przyćmione na ścianach obicia, te posadzki lśniące czernią hebanu i widziadlane, rycerskie trofea, co szczękały za każdym mym stąpnięciem — różniły się niewiele lub nie różniły się wcale od tych, do których nawykłem od dzieciństwa; aczkolwiek rozpoznawałem niezwłocznie te rzeczy, tak dobrze mi znane, mimo to nie wychodziłem z podziwu, iż zwyczajne zjawiska mogą rozniecać takie niezwyczajne urojenia. Na schodach spotkałem domowego lekarza. Twarz jego mignęła mi przed oczyma wyrazem uniżonej przebiegłości z domieszką zakłopotania. Pozdrowił mnie lękliwie, nie zwalniając kroku. Wtem służący rozwarł na oścież drzwi i wprowadził mnie do pokoju swojego pana.

Była to komnata bardzo obszerna i wysoka. Ostrołukowe jej okna, wąskie i długie, umieszczone były tak wysoko nad posadzką z czarnego dębu,

iż niepodobna było dosięgnąć ich od wewnątrz. Nikłe smugi nasyconego purpurą światła napływały przez zakratowane szyby i uwydatniały znajdujące się w pobliżu przedmioty; natomiast do odleglejszych kątów pokoju jako też do załomów jego sklepionego, szczodrze rzeźbionego stropu niepodobna już było przeniknąć spojrzeniem. Na ścianach wisiały ciemne draperie. Urządzenie składało się z mnóstwa odwiecznych podniszczonych i niewygodnych sprzętów. Dokoła leżały porozrzucane narzędzia muzyczne i książki, nie przyczyniając się wszakże do ożywienia całości. Owiało mnie powietrze przesiąknięte smutkiem. Wszystko było przepojone i przytłoczone tchnieniem surowej, głębokiej i beznadziejnej melancholii.

Gdym wszedł, Usher podniósł się z sofy, na której dotychczas spoczywał, i przywitał mnie z najżywszą serdecznością, co zrazu wydała mi się wymuszonym, nawykowym odruchem przeżytego światowca. Spojrzawszy mu wszelako w oczy, przekonałem się o najzupełniejszej jego szczerości. Kiedyśmy usiedli, milczał przez chwilę, ja zaś patrzyłem nań, przeniknięty na poły współczuciem, na poły grozą. Zaiste, nie było snadź jeszcze człowieka, który by w równie krótkim czasie uległ okropniejszym zmianom od tych, jakie zaszły w Roderyku Usherze! W tej wybladłej istocie niełatwo przyszło mi rozpoznać towarzysza mych lat chłopięcych. A jednak oblicze jego zastanawiało zawsze swą wyrazistością. Śmiertelna śnia-

dość lic; oczy duże, łzawe i niezrównanie promieniste; usta nieco cienkie i nadzwyczaj blade, lecz składające się w przedziwnie piękną krzywiznę; nos subtelnego, jak u Żydów, kształtu o rozdętych wszelako nozdrzach, nie zdarzających się zazwyczaj u tego typu; broda szlachetnie zarysowana, lecz nie wystająca, co świadczyło o braku woli; wreszcie włosy, miękkie i delikatne jak przędziwo — wszystkie te rysy w połączeniu z nadmiernie rozwiniętą skronią składały się na oblicze, które niełatwo dawało się zapomnieć. Najistotniejsze wszakże tych rysów znamiona, jako też właściwy im wyraz, uwydatniły się z czasem, co wywołało tak ogromną zmianę, iż jąłem powątpiewać, do kogo mówię. Upiorna bladość twarzy oraz czarodziejska świetlistość źrenic przede wszystkim zdjęły mnie niepokojem i trwogą. Urosły mu również zaniedbane, jedwabiste włosy i opływały raczej, niż okalały jego lico dziwnym, jak gdyby pajęczym oplotem, którego arabeskowości żadną miarą nie można było pogodzić z myślą o zwykłym człowieczeństwie.

W zachowaniu się mego przyjaciela zastanowił mnie od razu pewien bezład i rozprzężenie; rychło zdałem sobie sprawę, iż były one następstwem słabych i płonnych wysiłków, zmierzających do opanowania ciągłego niepokoju, daleko posuniętego rozstroju nerwowego. Na podobne objawy byłem zawczasu przygotowany; uprzedziły mnie o nich nie tylko jego listy i wspomnienia niektórych rysów z lat chłopięcych, lecz także wnioski,

na jakie naprowadziły mnie właściwości jego temperamentu, jako też ustroju fizycznego. Ruchy jego były na przemian żywe, to znów opieszałe. Głos jego (zwłaszcza w chwilach zupełnego odpływu sił) drżący niepewnością nabierał nagle energicznej stanowczości; po czym ważkie, urywane, powolne i stłumione dźwięki przeobrażały się w ociężałe, zrównoważone i dobitne wysłowienie, podobnie jak u nałogowych pijaków lub u ludzi opanowanych przez opium, kiedy znajdują się w okresie najsilniejszego podniecenia. W taki sposób mówił o celu mych odwiedzin oraz o tym, iż gorąco pragnął mnie zobaczyć, spodziewając się, że dodam mu otuchy. Wyjaśniał mi obszernie, na czym polegała jego choroba. Miało to być niedomaganie wrodzone i dziedziczne, na które — zdaniem jego — nie było lekarstwa. „Oczywiście, tylko najzwyczajniejszy rozstrój nerwowy — dodał niezwłocznie — który rychło przeminie". Przejawiało się ono mnóstwem nieprawidłowych odczuwań. Gdy jął o nich opowiadać, niektóre zaciekawiły i przeraziły mnie zarazem, do czego w znacznej mierze przyczyniły się zapewne użyte przezeń wyrażenia oraz cały tok opowiadania. Dolegało mu wielce chorobliwe zaostrzenie zmysłów; mógł spożywać tylko mdłe potrawy; znośna dlań była odzież jeno z niektórych tkanin; sprawiała mu przykrość woń kwiatów; nawet przyćmione światło raziło jego oczy, zaś wszystkie dźwięki, okrom pewnych brzmień strunowych

instrumentów muzycznych, były dlań nie do zniesienia.

Podlegał niewolniczo jakiemuś osobliwemu uczuciu grozy.

— Zgubi mnie — mówił — to żałosne szaleństwo, musi mnie zgubić. Wiem, iż przez nie zginę. Lękam się przyszłych zdarzeń, nie dla nich samych, lecz dla tego, co przyniosą. Wzdrygam się na myśl o każdym, najbardziej nawet błahym wypadku, gdyż może on podnieść nieukojoną rozterkę mej duszy. Nie przeraża mnie niebezpieczeństwo, lękam się tylko jego nieuniknionego następstwa: grozy. W mym skołataniu, w mym zrozpaczeniu czuję, iż wcześniej lub później nadejdzie chwila, gdy postradam życie i rozum w walce z potworną chimerą TRWOGI.

Z czasem urywane i niejasne napomknienia odsłoniły mi jeszcze inne zagadkowe rysy jego ustroju duchowego. Zostawał pod zaklęciem jakichś przesądnych wyobrażeń dotyczących domu, w którym mieszkał i z którego przez długie lata nie śmiał się oddalić — dotyczących również jakiegoś wpływu, którego rzekomą moc zawarł w określeniach nazbyt ciemnych, by dały się tu powtórzyć: pewne osobliwsze właściwości, utajone tylko w kształtach tudzież materialnej istocie jego rodowego gniazda, drogą długotrwałego cierpienia miały osiągnąć ten wpływ na jego ducha; zmysłowe zatem oddziaływanie szarych wieżyc i murów, jako też mrocznej, odzwierciedlającej je toni prze-

niosło się ostatecznie w sferę jego duchowego istnienia.

Przyznawał jednakże, acz nie bez wahania, iż gnębiącą go żałość dałoby się odnieść do prostszej i snadniej uchwytnej przyczyny: była nią ciężka i zadawniona choroba, a raczej bliski już zgon ukochanej serdecznie siostry, przez długie lata jedynej towarzyszki i ostatniej jego krewnej. Po jej śmierci — rzekł do mnie z goryczą, której nigdy nie zapomnę — złamany beznadziejnością i niemocą, będę ostatnim ze starożytnego rodu Usherów. Gdy mówił, lady Madeline (gdyż takie było jej imię) przesunęła się z wolna w głębi komnaty i zniknęła, nie zauważywszy mej obecności. Patrzyłem za nią ze zdumieniem, nie pozbawionym lęku, acz było dla mnie niepodobieństwem zdać sobie z tych uczuć sprawę. W drętwym osłupieniu podążałem spojrzeniem za odchodzącą. Kiedy podwoje zamknęły się za nią, oczy me bezwiednie i ciekawie przeniosły się na twarz brata; lecz ukrył ją w dłoniach i dostrzegłem tylko, że wychudłe jego palce powlokły się silniejszą niż zazwyczaj bladością, skroś nich zaś palące przesączały się łzy.

Zadawnionej niemocy lady Madeline na próżno starali się podołać lekarze. Przewlekła apatia, wzmagające się stopniowo wyczerpanie organizmu oraz częste, jakkolwiek przemijające, objawy kataleptycznej poniekąd natury składały się na niezwykłą jej diagnozę. Dotychczas opierała się mężnie dolegliwościom choroby i nie kładła się do łóżka; ze schyłkiem wszakże pierwszego po mym przy-

jeździe wieczora uległa (jak mi jej brat oświadczył nocą z niewysłowionym wzruszeniem) trawiącemu ją schorzeniu; dowiedziałem się zarazem, że owo przelotne widzenie będzie zapewne ostatnie — że żywej prawdopodobnie już jej nie zobaczę.

Przez kilka następnych dni nie wspominaliśmy obaj jej imienia; upłynęły mi one na najusilniejszych staraniach, by ukoić melancholię mojego przyjaciela. Spędzaliśmy czas na wspólnym czytaniu i malowaniu; niekiedy, snem jakby ujęty, zasłuchiwałem się w porywające improwizacje, które umiał wyczarowywać z gitary. Zacieśniająca się z każdym dniem między nami zażyłość torowała mi coraz swobodniejszy przystęp do tajników jego ducha; z tym większą atoli goryczą nabierałem przeświadczenia o płynności wszystkich zabiegów, zmierzających do rozpogodzenia umysłu, którego ćma, niby jakaś nieodłączna i rzeczywista władza, osnuwała nieustającą żałością wszystkie zjawiska duchowego i zmysłowego świata.

Nie wygaśnie nigdy w mej duszy pamięć uroczystych chwil, spędzonych w towarzystwie ostatniego z Usherów. Trudno jednak byłoby mi określić dokładniej rodzaj studiów i zajęć, w które mnie wtajemniczał lub do których wytknął mi drogę. Jego czujny i nieokiełznany idealizm wszystko swym fosforycznym oblewał blaskiem. Jego długie, improwizowane pienia żałobne nieustannie dźwięczą mi w uszach. Przeboleśnie utkwiła mi w duszy dziwna jakaś parafraza i dopełnienie dzikiej melodii z *Ostatniego Walca* von Webera. Spomiędzy obra-

zów, co poczynały się z zadum jego twórczej wyobraźni i za każdym dotknięciem pędzla roztaczały się w nieokreśloność, tym przenikliwszym wstrząsającą mnie dreszczem, iż drżałem, sam nie wiedząc dlaczego — spomiędzy tych obrazów (jakkolwiek tak żywo stoją mi przed oczyma) nie zdołałbym opisać żadnego okrom niewielu, pokrewnych już dziedzinie pisanego słowa. Nadzwyczajną prostotą oraz najzupełniejszym odsłonięciem swych zamierzeń przykuwał i struchlałą oczarowywał uwagę. Jeżeli człowiekowi śmiertelnemu powiodło się kiedykolwiek namalować ideę, to Roderyk Usher był tym człowiekiem. Dla mnie przynajmniej — śród okoliczności, w jakich się znajdowałem — z czystych abstrakcji, które ten melancholik starał się wyrazić na płótnie, wiała taka przepotężna i niewysłowiona groza, jaką płomienne, lecz nazbyt jeszcze rzeczywiste marzenia Fuseliego nie przejmowały mnie nigdy.

Pewien fantastyczny, mniej wszakże w abstrakcjach zaprzepaszczony, utwór mojego przyjaciela postaram się, acz nieudolnie, nakreślić tu w słowach. Nieduży ten obrazek przedstawiał wnętrze jakiegoś niezmiernie długiego, prostokątnego podziemia czy tunelu o niskich ścianach, gładkich i białych, pozbawionych wszelkich przerw i ozdób. Niektóre szczegóły uboczne miały naprowadzać na domysł, że tunel ten znajduje się niesłychanie głęboko pod powierzchnią ziemi. Na całej jego ogromnej przestrzeni nie widniało nigdzie wyjście ani pochodnia lub jakiekolwiek inne, sztuczne źródło

światła, a jednak powódź jaskrawych blasków roztaczała się wszędzie i zatapiała czeluść upiorną, nieodgadnioną poświatą.

Schorzenie nerwu słuchowego, o którym już wspomniałem, sprawiło, iż okrom niektórych brzmień instrumentów strunowych nie znosił Usher muzyki. Być może, iż właśnie ów ciasny zakres, w jakim się zasklepił, grywając tylko na gitarze, grę jego fantastycznym otoczył urokiem. Wszelako ognistego polotu, jaki wiał z tych jego *impromptu* *, nie można było złożyć na karb zacieśnienia. Snadź zarówno melodie, jak i słowa rozpętanych jego fantazji (gdyż nierzadko wtórował sobie rymowanymi improwizacjami) musiały być i były istotnie wynikiem wytężonego, duchowego sprzężenia i skupienia, o którym napomknąłem poprzednio, powiadając, iż daje się ono zauważyć tylko w wyjątkowych chwilach najpotężniejszego, nienaturalnego podniecenia. Słowa jednej takiej rapsodii z łatwością utkwiły mi w pamięci. Być może, iż wstrząsnęła mną ona silniej, niżeli zamierzał, gdyż zdało mi się, że w tajemnym czy misternym toku jej znaczenia wyczułem po raz pierwszy zupełne przeświadczenie Ushera, iż szczytny jego umysł chwieje się na swym tronie. Wiersze te, noszące tytuł: *Nawiedzony gród*, jeżeli nie dosłownie, to niemal dosłownie, brzmiały tak:

---

* *Impromptu* (fr.) — muzyczny utwór improwizowany.

I

Śród zieleni, śród lewady,
Przez aniołów dzierżon ród,
Niegdyś dźwignął się z posady
Promienisty, wzniosły gród.
Kędy Myśli królowania
Tam ten twór!
Większej chwały nie osłania
Żaden Seraf tęczą piór.

II

Wstęgą złotą, świetną, sławną
Wiały znaki z hełmów wież.
(Ach, jak dawno już — tak dawno!
Gdzież są, gdzież!)
Niosły powiew jak posłanki
W słodki ów dzień
Na ocienione grodu blanki
Pierzchliwą falę wonnych tchnień.

III

Przez świetlistych okien dwoje
Widział pielgrzym z obcych stron
Pląsające duchów roje.
Jak na dźwięcznej lutni ton
W krąg stolicy złotolitej
Zataczały tan
U stóp Porfirogenety,
Co władał jako grodu pan.

IV

Z rubinu każdy grodu wrzeciądz,
Blask pereł na drzwiach mży —
Przez które lecąc, lecąc, lecąc,
Świecące niby skry,
Wpadały Echa z każdym mgnieniem,
Zaś ten Ech tłum
Swym czarodziejskim wielbił pieniem
Królewską dostojność i um.

V

Ale złe dziwy w smętku szacie
Naszły królewski, wzniosły dom.
(Ach, król nie ujdzie już zatracie
I już nie będzie końca łzom!)
A sława, co kwitnęła jaśniej
Niż rajski kwiat,
Jest tylko mglistym tworem baśni
Z dawno zamierzchłych lat.

VI

Widzi dziś pielgrzym śród lewady
Przez okna, skrzące blaskiem łun,
Jak się kołyszą zjaw gromady
Przy opętańczym zgrzycie strun.
Przez zmierzchłe dźwierze dziką zgrają,
Miast wdzięcznych Ech,
Tłoczą się widma, które znają
Nie uśmiech już, lecz śmiech.

Przypominam sobie, iż wywołana nastrojem ballady wymiana myśli nastręczyła Usherowi sposobność do wygłoszenia poglądu, o którym wspomnę nie dla jego nowości, gdyż myśli tej hołdowali już inni, lecz dla stanowczości, z jaką się przy nim upierał.

Pogląd ten w swej zasadzie opiewa, iż wszystkie ustroje roślinne wyposażone są zdolnością odczuwania. Atoli w jego rozwichrzonej wyobraźni myśl ta śmielszego nabrała rozpędu i z pewnymi zastrzeżeniami ogarniała także dziedzinę świata nieorganicznego. Nie mam słów na wyrażenie całego zakresu oraz surowej beznadziejności tych jego zapatrywań. Pozostawały one w związku (jak już po-

przednio napomknąłem) z szarymi kamieniami siedziby jego praojców. Zdolność odczuwania rozwinęła się w niej — jak sobie wyobrażał — zarówno pod wpływem układu i sposobu zestawienia kamieni, jak pod wpływem porastających je plech oraz okolnych, spróchniałych pni drzewnych — przede wszystkim zaś skutkiem długiego, nie zamąconego trwania tych właściwości jako też ich odbicia w cichych wodach topieli. Świadczy o niej — o owej zdolności odczuwania — (rzekł do mnie, ja zaś wzdrygnąłem się na te jego słowa) stopniowe, lecz niezawodne zgęszczanie się dokoła wód i murów pewnej właściwej im atmosfery. Następstwa — dodał jeszcze — przejawiają się w utajonym wprawdzie, niemniej wszakże przemożnym i straszliwym oddziaływaniu, co od wieków zaznaczało się w losach jego rodu, z niego zaś samego uczyniło to, czym był i czym jest obecnie. Poglądy takie nie potrzebują komentarzy, jakoż ich dawać nie zamierzam.

Książki nasze — te książki, co przez długie lata przyczyniały się niemało do jego duchowego bytowania, pozostawały — jak łatwo się domyślić — w najściślejszej łączności z tym światem przywidzeń. Zagłębialiśmy się razem w takich dziełach, jak *Ververt i Chartreuse* Gresseta, *Belphegor* Machiavellego, *Niebo i piekło* Swedenborga, *Podróż podziemna Nicholasa Klimma* Holberga, *Chiromancja* Roberta Fluda, Jean d'Indagine'a i de la Chambre'a, *Podróż w Błękity* Tiecka tudzież *Miasto słoneczne* Campanelli. Jedną z ulubionych jego

książek było *Directorium Inquisitorium*, wydane w małej ósemce przez dominikanina Eymerica de Gironne; zaś nad niektórymi ustępami Pomponiusza Meli, gdzie jest mowa o starodawnych, afrykańskich satyrach i oegipanach, mógł Usher w zadumie długie spędzać godziny. Z największym wszakże upodobaniem rozczytywał się w nadzwyczaj rzadkiej i tajemniczej gotyckiej księdze, pochodzącej z jakiegoś zapomnianego kościoła, a noszącej tytuł: *Vigiliae Mortuorum secundum Chorum Ecclesiae Maguntinae.*

Zastanawiałem się właśnie nad dziwnym rytuałem tego dzieła oraz nad przypuszczalnym jego wpływem na melancholię mojego przyjaciela, gdy pewnego wieczora zawiadomił mnie on niespodziewanie o zgonie lady Madeline, oświadczając zarazem, iż zamierza złożyć jej zwłoki (zanim odbędzie się pogrzeb) na jakieś dwa tygodnie w jednym z podziemi, znajdujących się śród węgielnych posad zamczyska. Jawne powody, jakimi uzasadniał to osobliwsze postanowienie, były tego rodzaju, iż sprzeciwiać się mu nie mogłem. Powziął je rzekomo pod wpływem niezwykłych przejawów chorobowych zmarłej tudzież natarczywych i badawczych nagabywań jej lekarzy, a przyczyniła się jeszcze i ta okoliczność, iż groby rodzinne w znacznej znajdowały się odległości i nie były należycie zabezpieczone. Przyznaję, iż uprzytomniwszy sobie złowróżbną twarz osobnika, którego w dzień przyjazdu spotkałem na schodach, nie miałem już chęci doradzać Usherowi, by odstąpił od zarządze-

nia, które wydawało mi się ze wszech miar słusznym i najzupełniej godziwym.

Na prośbę Ushera pomagałem mu przy tym żałobnym obrzędzie. Złożywszy zwłoki do trumny, zanieśliśmy je we dwójkę na miejsce spoczynku. Podziemie, w którym je umieściliśmy (nie otwierano go już od tak dawna, iż nasze pochodnie w stęchłym powietrzu zaledwo się jarzyły, nie pozwalając nam rozejrzeć się dokładniej), było małe, duszne i zupełnie pozbawione dopływu światła; położone zaś było ogromnie głęboko, bezpośrednio pod tą częścią skrzydła zamkowego, gdzie znajdował się mój pokój sypialny. Za dawno minionych feudalnych czasów służyło snadź ono do najgorszych celów jako loch więzienny, później zamieniono je zapewne na skład prochu czy też innych wybuchowych materiałów, gdyż zarówno część jego posadzki, jak i całe wnętrze długiego sklepionego korytarza, który do niego prowadził, opancerzono starannie miedzią. Potężne dźwierze żelazne były również zaopatrzone w ten sam sposób. Poruszając się na zawiasach, wydawały niesłychanie przeraźliwy zgrzyt, olbrzymim spowodowany ciężarem.

Złożywszy nasze żałobne brzemię na marach śród tego przybytku grozy, uchyliliśmy nie przytwierdzone jeszcze wieko trumny, by przyjrzeć się obliczu zmarłej. Zastanowiło mnie przede wszystkim uderzające podobieństwo między bratem a siostrą, toteż Usher, jakby odgadując me myśli, wyszeptał kilka słów, z których się dowiedziałem,

iż byli bliźniętami i że zawsze wprost niepojęta łączyła ich sympatia. Atoli spojrzenia nasze niezbyt długo spoczywały na zmarłej, gdyż nie mogliśmy patrzeć na nią bez drżenia. Choroba, która przecięła wątek młodego jej życia, pozostawiła, jak to zazwyczaj się zdarza przy wszystkich wyłącznie kataleptycznych niedomaganiach, na licu i na piersiach złudzenie lekkiego rumieńca, a na ustach ów zagadkowo tęskny uśmiech, co tak strasznie wygląda u zmarłych. Zamknęliśmy i przytwierdziliśmy wieko, po czym zasunąwszy żelazne dźwierze powróciliśmy nie bez trudu do niewiele pogodniejszych komnat, stanowiących wyższe piętro zamczyska.

Mijał dzień za dniem nieprzepłakanego żalu, gdy w objawach rozstroju duchowego mojego przyjaciela zaszła widoczna zmiana. Zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Poniechał całkiem swych zajęć lub o nich zapomniał. Błądził po komnatach bez celu szybkim i nierównym krokiem. Jeszcze upiorniejsza stała się śmiertelna bladość jego oblicza, a promieniste oczy przygasły. Przydarzająca się dawniej u niego chrypliwość głosu zanikła, zaś w brzmieniu słów znać było nieustające drżenie, jak gdyby ostatecznym wywołane przerażeniem. Zdawało mi się chwilami, iż stale podniecony jego umysł pasuje się z uciskiem jakiejś tajemnicy i sili się na potrzebną odwagę, chcąc ją wypowiedzieć. Lecz kiedy indziej składałem znów wszystko na karb niepojętych majaczeń obłędu, gdyż widywałem go, jak z wyrazem najgłębszego skupienia

wpatrywał się w próżnię, niby łowiąc uchem jakieś urojone dźwięki. Nie było w tym nic dziwnego, iż stan jego przerażał mnie i zarażał. Czułem, że stopniowo poddaję się nieodpartemu wpływowi jego fantastycznych, lecz porywających przewidzeń.

Zwłaszcza siódmej czy ósmej nocy po przeniesieniu lady Madeline do podziemia, udawszy się na spoczynek, doświadczyłem na sobie przemożnej ich potęgi. Godziny upływały, lecz sen nie imał się mego posłania. Rozumowaniem starałem się stłumić w sobie niepokój, który mną owładnął. Wmawiałem w siebie, iż głównym, jeżeli nie wyłącznym, mych odczuwań powodem był przygnębiający wpływ posępnego umeblowania komnaty — przede wszystkim ciemnych i poszarpanych draperii, co smagane tchnieniem wszczynającej się burzy, trzepotały na ścianach i szeleściły u wezgłowia mojego łoża. Atoli wszystkie me usiłowania były nadaremne. Nieuskromione drżenie jęło stopniowo wstrząsać całym mym ciałem, zaś w końcu nawet w mym sercu rozgościła się zmora najzupełniej płonnej trwogi. Otrząsnąłem się z niej wysiłkiem woli, po czym dysząc ciężko dźwignąłem się na poduszkach i utkwiwszy badawcze spojrzenie w nieprzeniknionych mrokach komnaty, zasłuchałem się — powodowany nie wiedzieć czym, snadź jeno nieświadomym odruchem instynktu — w jakieś głuche i nieokreślone dźwięki, co z wielkimi przerwami dolatywały nie wiadomo skąd, gdy uciszała się burza. Zdjęty

dławiącym uczuciem niepojętej, lecz niezwalczonej grozy, odziałem się pospiesznie (gdyż czułem, iż nie uda mi się zasnąć tej nocy) i szybkim krokiem jąłem przechadzać się po komnacie, by wyrwać się z tego przykrego nastroju.

Zaledwie wszakże zdążyłem przejść się kilka razy, gdy lekkie stąpanie na przyległych schodach zwróciło moją uwagę. Natychmiast poznałem po chodzie Ushera. Jakoż w chwilę później zastukał z cicha do moich drzwi i wszedł z lampą w ręku. Lico jego było jak zazwyczaj śmiertelnie blade — lecz w oczach widniała jakaś obłędna radość, a w całym zachowaniu znać było powściągane zapamiętanie się szałem. Wygląd jego zatrwożył mnie — wolałem atoli jaką bądź zmianę od dotychczasowej gnębiącej samotności i powitałem go z uczuciem ulgi.

— A ty... czy nie widziałeś tego? — odezwał się nagle po chwili niemego osłupienia. — Nie widziałeś? Ale poczekaj, zobaczysz! — To mówiąc, osłonił lampę dłonią i podbiegłszy do okna rozwarł je na oścież, nie bacząc na burzę.

Wściekły pęd wdzierającego się wichru omal nie obalił nas z nóg. Noc była burzliwa, lecz groźnie piękna — dziwna tym skojarzeniem piękności i grozy. Zamęt powietrzny czerpał widocznie swe siły gdzieś w naszym sąsiedztwie, gdyż kierunek wiatru ulegał częstym i nagłym zmianom i pomimo nadzwyczajnego zagęszczenia się chmur (co wisiały tak nisko, iż zdawały się ciążyć na wieżycach zamku) widać było chyżość, z jaką przelaty-

wały na podobieństwo żywych istot, nadlegając ze wszech stron, lecz nie rozpraszając się w przestworzu.

Powtarzam, iż widzieliśmy to zjawisko pomimo niesłychanego zagęszczenia się chmur — jakkolwiek nie przesiąkały przez nie promienie gwiazd ni miesiąca i nie migotały błyskawice. Atoli zarówno dolna powierzchnia olbrzymiego zwału rozkołysanych obłoków, jak i wszystkie, znajdujące się na ziemi, pobliskie nam przedmioty jarzyły się nienaturalną poświatą mgławych, wyraźnie dostrzegalnych wyziewów, co słaniały się dokoła i spowijały zamek w swe całuny.

— Nie powinieneś... nie trzeba, żebyś na to patrzał! — wstrząśnięty rzekłem do Ushera i przemocą odciągnąłem go od okna, skłaniając, aby usiadł. — Te majaki, które cię tak niepokoją, są to po prostu dość pospolite zjawiska elektryczne i najprawdopodobniej zawdzięczają swe upiorne istnienie błotnym oparom topieli. Pozwól, że zamknę okno; powietrze jest ostre i mogłoby ci zaszkodzić. Oto jedna z twych ulubionych powieści. Ja będę czytał, a ty posłuchaj — i jakoś minie nam ta przeklęta noc!

Starożytna księga, którą wziąłem do ręki, był to *Mad Trist* Sir Launcelota Canninga, atoli nazwanie jej ulubioną powieścią Ushera było raczej posępnym żartem niż rzeczywistością, bowiem cudaczna, oschła rozwlekłość tego utworu nie licowała wcale ze szczytnym i uduchowionym idealizmem mojego przyjaciela. Lecz była to jedyna książka, którą

w tej chwili miałem na podorędziu, a przy tym przyświecała mi nikła nadzieja, iż bezmiar zawartych w niej bredni może wpłynąć kojąco na rozterkę, co targała duszą melancholika (gdyż dzieje zboczeń umysłowych roją się od podobnych sprzeczności). Jakoż sądząc z wyrazu niezmiernie wytężonego skupienia, z jakim słuchał lub zdawał się słuchać powieści, mogłem się cieszyć z powodzenia mego pomysłu.

Dotarłem w czytaniu do owego powszechnie znanego ustępu, gdzie Ethelred, bohater *Mad Trista*, widząc, iż wszelkie jego namowy, by pustelnik dobrowolnie wpuścił go do swej chaty, są bezowocne, postanawia wedrzeć się przemocą. Przypominam, iż opowiadanie brzmi następująco:

Ethelred, co z przyrodzenia chrobre miał serce, a był teraz dużo silniejszy, mocnym poprzednio pokrzepiwszy się winem, zaniechał dalszej rozmowy z eremitą, który był istotnie człowiekiem upartym i złośliwym, lecz czując deszcz na karku i nadlegającej obawiając się burzy dźwignął w górę swą pałkę i szybkimi uderzeniami rum uczynił w bierwionach dźwierzy dla swej pancernej dłoni; po czym wraziwszy ją śmiało, jął tak rwać, siepać i druzgotać do cna, że pogłosy i larum szły hen po całym lesie od trzasku suchego i próżnią odzywającego się drewna.

Pod koniec tego okresu drgnąłem i zatrzymałem się na chwilę, gdyż wydało mi się (acz uświadomiłem sobie od razu, iż rozigrana uwodzi mnie wyobraźnia), jak gdybym skądś, z jakiegoś bardzo odległego zakątka, dosłyszał szmer głuchy i przytłumiony, lecz najzupełniej podobny do owego

trzasku i łomotu, który Sir Launcelot opisuje tak szczegółowo. Bez wątpienia, właśnie to podobieństwo zwróciło moją uwagę, gdyż śród brzęku szyb w oknach oraz zmąconego poszumu wzmagającej się burzy szmer ten sam przez się na pewno nie byłby mnie zastanowił i zaniepokoił. Czytałem więc dalej:

Alić takiż gniew i przerażenie zdjęło mężnego najeźnika (Ethelreda), gdy przekroczywszy próg nie zastał ani śladu złośliwego eremity; miast niego smok obmierzły cały w łuskach i z płomienistym językiem dzierżył straż przed pałacem ze złota, co miał pawiment ze srebra. Także na ścianie wisiała paiża ze szklącej miedzi, na której taka widniała legenda:

Kto wejdzie tutaj, ten zwycięzcą będzie,
Smoka zabije i pawęż posiędzie.

Za czym Ethelred dźwignął swą maczugę i ugodził w łeb smoka, który padł przed nim i wyzionął swe jadowite tchnienie z jękiem tak srogim i okropnym, a zarazem tak przeraźliwym, iż Ethelred dłonią zatulał uszy przed tym straszliwym wrzaskiem, jakiego przedtem nie zdarzyło mu się słyszeć.

W tym miejscu urwałem znowu, tym razem z uczuciem lodowatego osłupienia — gdyż nie ulegało już wątpliwości, iż w tej chwili doleciał mnie (jakkolwiek nie umiałbym powiedzieć, skąd) jakiś słaby i widocznie daleki, lecz szorstki, przeciągły i niewymownego pełen pojęku zgrzyt — niejako wtór dokładny nadprzyrodzonego ryku smoka, wyczarowanego przez poetę w mej wyobraźni.

Odurzony tym ponownym i niepojętym zbiegiem okoliczności, miotany najsprzeczniejszymi

wrażeniami, śród których przeważało zdumienie i ostateczna groza, zachowałem jednakże tyle przytomności umysłu, iż żadnym niebacznym słowem nie zadrasnąłem przeczulonej wrażliwości mojego towarzysza. Nie miałem bynajmniej pewności, czy zgrzyt ów zwrócił na siebie jego uwagę, aczkolwiek w zachowaniu się jego już od pewnego czasu zaszła szczególniejsza zmiana. Usiadł był zrazu zwrócony obliczem ku mnie, po czym stopniowo tak wykręcił krzesło, iż miał przed sobą podwoje komnaty; nie widziałem przeto całej jego twarzy, dostrzegłem wszakże, iż wargi jego drżały jak gdyby bezgłośnym szeptem. Głowa zwisła mu na piersi, wiedziałem atoli, iż nie śpi, gdyż z boku mignął mi połysk jego szeroko otwartych, zakrzepłych nieruchomo oczu. Przeczyło temu także przechylenie się jego ciała — kołysał się bowiem w obie strony lekkim, lecz miarowym i nieustającym ruchem. Ogarnąwszy to wszystko jednym rzutem oka, podjąłem na nowo wątek opowieści Sir Launcelota, która w dalszym toku brzmi tak:

Jakoż uszedłszy srogiej furii smoka, najeźnik on wspomniał miedzianą paiżę i zawieszone na niej zaklęcie i usunąwszy ścierwo precz z drogi, kroczył mężnie po srebrnym pawimencie zamczyska, kędy na ścianie wisiała paiża: bawej nie czekała jego przyjścia, ale sama upadła mu pod nogi na srebrną posadzkę z ogromnym i przeraźliwym szczękiem.

Jeszcze te zgłoski nie zdążyły zamrzeć na moich wargach, gdy wtem — jak gdyby istotnie tarcza z miedzi ciężko na srebrną runęła posadzkę —

doleciał mnie wyraźnie odgłos jakiś suchy, dźwięczny i metaliczny, acz widocznie przytłumiony. Truchlejąc z przerażenia, zerwałem się na równe nogi, ale Usher nie zaprzestał swego miarowego, kołyszącego się ruchu. Podbiegłem do krzesła, na którym siedział. Miał oczy nieruchomo utkwione przed siebie, a na licach wyraz kamiennego odrętwienia. Kiedym wszakże położył rękę na jego ramieniu, silny wstrząs targnął całym jego ciałem; mdły uśmiech prześliznął się po jego wargach i zauważyłem, że mówi głuchym, urywanym, rozbitym szeptem, jak gdyby nieświadom mej obecności. Pochyliwszy się nad nim, słów jego straszliwej dorozumiałem się treści:

— Jakże tego nie słyszeć? Słyszę ci ja, słyszałem już od dawna. Słyszałem dawno — dawno — dawno — przez tyle minut, tyle godzin, tyle dni! Słyszałem, lecz nie śmiałem — biadaż mnie, nieszczęsnemu! — nie śmiałem, nie miałem odwagi mówić. Myśmy ją żywcem pochowali w grobie! Czyż nie mówiłem, że mam przeczulone zmysły? A teraz powiadam ci, żem słyszał pierwsze jej lekkie poruszenie we wnętrzu trumny. Słyszałem je od wielu, wielu dni — lecz nie śmiałem — nie miałem odwagi mówić. I oto tej nocy — ten Ethelred — ha! ha! — to wywalanie drzwi u pustelnika i ten przedzgonny ryk smoka, i ten szczęk tarczy! — powiedz raczej: otwieranie trumny i zgrzyt żelaznych wrzeciądzów więziennych i jej rozpaczne błąkanie się w opancerzonym korytarzu podziemia. Oh, dokąd uciekać? Nie przyjdzież tu zaraz? Nie biegnież, by

mnie przeklinać za mój pośpiech? Czyż nie słyszę na schodach jej kroków? Czy nie rozróżniam ciężkiego, bolesnego dygotania jej serca! Szaleńcze!

Nieprzytomny zerwał się z miejsca i z takim krzykiem jął wyrzucać słowa, jak gdyby wraz z nimi miał wyzionąć ducha:

— Szaleńcze! Ja ci powiadam, że ona stoi już przed drzwiami!

I jak gdyby w nadludzkiej głosu jego mocy kryła się jakaś czarodziejska potęga — ogromne, starożytne podwoje, na które wskazywał, rozchyliły naraz swe ciężkie, hebanowe skrzydła. Otworzył je pęd wiatru — lecz za nimi istotnie stała smukła, otulona w całun postać lady Madeline Usher. Krew zbroczyła białe jej szaty, a na wynędzniałym ciele widniały wszędzie ślady przebolesnych wysiłków. Drżąc i słaniając się, stała przez chwilę w progu — po czym z jękiem przechyliła się ku wnętrzu komnaty, całym ciężarem waląc się na brata. Śród strasznych i tym razem już ostatecznych skurczów przedśmiertelnych pociągnęła go za sobą na ziemię — nieżywego: zabiła go, jak przepowiedział, trwoga.

Zmartwiały z przerażenia wybiegłem z tej komnaty i z tego domu. Gdym mijał odwieczną groblę, wciąż jeszcze srożyła się burza. Wtem przede mną na drodze dziwna jakaś zamigotała poświata. Oglądałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic okrom potwornego zamczyska i jego mroków. Było to światło wschodzącego i jak gdyby

okrwawionego księżyca w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną, szczelinę, o której wspomniałem, iż wiła się zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wicher znów silniej się zakłębił; zaskrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; wionął przeciągły, rozgłośny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód — i u mych stóp głucho, złowrogo, nad rozwalinami Domu Usherów zawarła się czarna, posępna topiel.

Tajemnica Marii Rogêt

Istnieje szereg zjawisk natury idealistycznej, które przebiegają równolegle do rzeczywistości. Rzadko się z nią zbiegają. Ludzie i przypadki wywierają zwykle swój wpływ na tego rodzaju zjawisko, tak że występuje ono w formie niezupełnie prawidłowej; tak że jego skutki również są nieprawidłowe. Podobnie było z Reformacją: zamiast protestantyzmu nastąpił luteranizm.

(Novalis: „Morale Ansichten”)

Niewiele jest osób, nawet śród najspokojniejszych myślicieli, które by w pewnych razach nie ulegały przypływom nieuchwytnej, lecz nie mniej wstrząsającej do rdzenia, połowicznej wiary w rzeczy nadprzyrodzone, gdy jakiś zbieg okoliczności przybierze tak osobliwy na pozór charakter, że intelekt nie może pogodzić się z wnioskiem, jakoby to był tylko zbieg okoliczności.

Odczuwania tego rodzaju — gdyż połowiczne wierzenia, o których mowa, nie miewają nigdy pełnej mocy myśli — odczuwania takie rzadko

kiedy dają się całkowicie stłumić, i to tylko za pomocą teorii przypadkowości, czyli — jak brzmi nazwa techniczna — rachunku prawdopodobieństwa. Rachunek ten jest w swej istocie wyłącznie matematyczny; i oto mamy do czynienia z taką osobliwością, iż surowa ścisłość wiedzy znajduje zastosowanie do świata cieniów i do duchowości zjawisk, najbardziej nieuchwytnych w dziedzinie spekulacji.

Nadzwyczajne zdarzenia, które na życzenie podaję obecnie do wiadomości publicznej, tworzą — jak to się okaże z kolejności czasu — pierwsze odgałęzienie szeregu zaledwie przystępnych pojmowaniu ludzkiemu zbiegów okoliczności, którego następczą, czyli ostateczną część znajdą czytelnicy w opowieści o zabójstwie Marii Cecylii Rogers w Nowym Jorku.

Gdym przed jakimś rokiem w pracy, zatytułowanej *Zabójstwo przy rue Morgue,* przystępował do skreślenia kilku nader znamiennych rysów umysłowości mojego przyjaciela, Chevaliera C. Augusta Dupina, ani nie przechodziło mi przez myśl, że mogę jeszcze powrócić do tego przedmiotu. Odmalowanie tej umysłowości było jedynym mym celem, a cel ten został zupełnie osiągnięty w toku szczególniejszych okoliczności, rozwidniających właściwości psychiczne Dupina. Mógłbym był przytoczyć jeszcze inne przykłady, nie byłbym jednak wykazał niczego więcej. Atoli ostatnie wypadki oraz ich osłupiający przebieg rozbudziły nagle we mnie wspomnienia dalszych zdarzeń, które wniosą

do mej opowieści jakby nastrój wymuszonego wyznania. Dowiedziawszy się jednak tego, co niedawno słyszałem, byłbym zaprawdę postąpił dziwnie, gdybym dłużej milczał o tym, co widziałem i słyszałem tak dawno już temu.

Po rozwikłaniu tragedii, co osnuwała śmierć Madame L'Espanaye i jej córki, Chevalier przestał nagle zajmować się tą sprawą i pogrążył się znowu w swym dawnym nawyku posępnego marzycielstwa. Mając zawsze skłonność do abstrakcyjności, przystosowałem się z łatwością do jego usposobienia. Mieszkaliśmy dalej w naszych pokojach na Faubourg Saint Germain, zdaliśmy przyszłość na cztery wiatry i śniliśmy spokojnie w teraźniejszości, omotując marzeniami czczość otaczającego nas świata.

Wszelako w marzeniach tych zdarzały się przerwy. Jak łatwo się domyślić, współudział mego przyjaciela w dramacie przy rue Morgue nie pozostał bez wpływu na wyobraźnię policji paryskiej. Nazwisko Dupina nabrało rozgłosu śród jej agentów. Prostota wnioskowań, za pomocą których zdołał przeniknąć tę tajemnicę, nie była znana prefektowi ani też nikomu innemu prócz mnie samego; nie było zatem nic dziwnego w tym, że sprawę tę rozdęto niemal do rozmiarów cudu, a zdolności analityczne Chevaliera wywołały podziw dla jego intuicji. Właściwa mu szczerość byłaby go skłoniła niewątpliwie do prostowania tych mylnych mniemań o nim, ale niedbałość jego usposobienia nie pozwalała mu nadal zajmować się przedmiotem,

który już od dawna przestał go obchodzić. Zdarzyło się zatem, iż sam nie wiedząc kiedy stał się jakby gwiazdą przewodnią policyjnych oczu i niejednokrotnie zwracano się do niego, by przyjął służbę w prefekturze. Jednym z najbardziej pamiętnych zdarzeń było zabójstwo młodej dziewczyny, nazwiskiem Maria Rogêt.

Wypadek ten nastąpił w jakieś dwa lata po okropnościach przy rue Morgue. Maria, której imię chrzestne i nazwisko rodowe przypomni niewątpliwie nieszczęsną „robotnicę z fabryki cygar", była jedyną córką wdowy, Estelli Rogêt. Ojciec odumarł ją w dzieciństwie. Odtąd matka i córka mieszkały razem przy rue Pavée Saint André *, skąd dziewczyna wyprowadziła się dopiero na osiemnaście miesięcy przed zabójstwem, które stanowi przedmiot niniejszego opowiadania. Matka przy pomocy Marii utrzymywała pensjonat. Trwało to aż do czasu, kiedy dziewczyna ukończyła dwudziesty pierwszy rok życia i kiedy wielka jej uroda zwróciła uwagę pewnego właściciela perfumerii. Miał on sklep w suterenach Palais Royal, a klientela jego składała się przeważnie z zuchwałych rzezimieszków, niepokojących sąsiednie dzielnice miasta. Monsieur Le Blanc zdawał sobie sprawę z korzyści, jakie mogły wyniknąć dla niego z obecności pięknej Marii w sklepie. Nie skąpił obietnic, które bardzo podobały się dziewczynie, natomiast u matki spotkały się z pewnym niedowierzaniem.

---

* Nassau Street w Nowym Jorku.

Zabiegi sklepikarza odniosły w końcu skutek i jego firma nabrała wkrótce rozgłosu dzięki powabom uroczej gryzetki. Była u niego zajęta przez jakiś rok, po czym znikła nagle, co wywołało wielkie zaniepokojenie śród jej wielbicieli. Monsieur Le Blanc nie umiał nic powiedzieć o powodach jej nieobecności, a Madame Rogêt szalała z niepokoju i przerażenia. Dzienniki zajęły się natychmiast tą sprawą, zaś policja zamierzała już przystąpić do ścisłego śledztwa, gdy pewnego pięknego poranku, po upływie tygodnia, Maria najzupełniej zdrowa, acz nieco smutniejsza niż zazwyczaj, zajęła znowu swe miejsce przy kasie sklepowej. Wszystkie wywiady, prócz poufnych, natychmiast ustały. Monsieur Le Blanc tak samo nic nie wiedział, jak poprzednio. Maria i jej matka odpowiadały na wszystkie pytania, iż ubiegłego tygodnia przebywała na wsi, u swych krewnych. Sprawa ta przycichła i poszła w zapomnienie, gdyż dziewczyna, chcąc widocznie ujść natrętnej ciekawości — rozstała się wkrótce ze swym pracodawcą i powróciła do mieszkania przy rue Pavée Saint André.

W jakieś pięć miesięcy po tym powrocie pod dach rodzicielski znowu znikła nagle ku zaniepokojeniu swych przyjaciół. Trzy dni upłynęły, a nie było o niej wieści. Czwartego dnia znaleziono jej zwłoki, płynące po Sekwanie w pobliżu brzegu położonego naprzeciw dzielnicy, do której należy rue Saint André, opodal odludnej połaci Barrière du Roule.

Okrucieństwo zabójstwa (gdyż od razu było widoczne, że popełniono zabójstwo), młodość i uroda ofiary, zaś przede wszystkim rozgłos, jaki zdążyła pozyskać, złożyły się na wywołanie silnego wzburzenia umysłów śród wrażliwej ludności paryskiej. Nie przypominam sobie, by jaki inny podobny wypadek wywołał odruch równie powszechny i równie potężny. Przez kilka tygodni nawet najważniejsze, bieżące sprawy polityczne gubiły się w dyskusjach nad tym wszechpochłaniającym zagadnieniem. Prefekt zdobył się na niezwykłą energię, a władze całej policji paryskiej rozwinęły nadzwyczaj sprężystą działalność.

Po znalezieniu zwłok zrazu nie przypuszczano, by zabójca mógł długo ukrywać się przed dochodzeniami, które niezwłocznie wdrożono. Nie wcześniej niż dopiero po jakimś tygodniu uznano za właściwe ogłosić nagrodę za wykrycie zbrodniarza; wszelako nagroda ta wynosiła zaledwie tysiąc franków. Równocześnie dochodzenia odbywały się energicznie, acz nie zawsze roztropnie, i przesłuchano mnóstwo osób, ale bezskutecznie. Tymczasem ta niemożność znalezienia jakichkolwiek poszlak, zmierzających do rozwidnienia tajemnicy, podniecała wielce wzburzenie tłumu. Pod koniec dziesiątego dnia uznano za konieczne podwoić wyznaczoną pierwotnie sumę, kiedy zaś po upływie dwu tygodni niczego nie udało się wykryć i kiedy uprzedzenie, które istnieje zawsze w Paryżu względem policji znalazło upust w kilku poważniejszych zajściach ulicznych, prefekt z własnego popędu po-

stanowił ofiarować sumę dwudziestu tysięcy franków za „wskazanie zbrodniarza" lub — gdyby się okazało, że było ich więcej — za „wskazanie jednego ze zbrodniarzy". W ogłoszeniu urzędowym zawiadamiającym o wyznaczeniu tej nagrody przyrzeczono ponadto zupełną bezkarność tym uczestnikom zbrodni, którzy by zechcieli wydać swych towarzyszy. Obok tych ogłoszeń porozlepiano wszędzie prywatne plakaty komitetu obywatelskiego, który do sumy wyznaczonej przez prefekturę dodawał od siebie dziesięć tysięcy franków. W całości wynosiła zatem nagroda aż trzydzieści tysięcy franków, co było sumą wprost niesłychaną, jeżeli się zważy, iż chodziło o dziewczynę z ludu i jeżeli się uwzględni, że zabójstwa tego rodzaju nader często zdarzają się w wielkich miastach.

Nikt już nie wątpił, iż tajemnica tej zbrodni niezwłocznie wyjdzie na jaw. Jakoż uwięziono jedna czy dwie osoby, których zeznania miały rzekomo rozwidnić tę ciemną sprawę, lecz okazało się, że podejrzenia o współudział były niesłuszne, i natychmiast zarządzono uwolnienie. Mogłoby się wydawać rzeczą dziwną, że trzy tygodnie upłynęły już od znalezienia zwłok, nie rzucając żadnego światła na to zagadnienie, a jednak nawet najpobieżniejsza pogłoska o wypadku, który tak bardzo roznamiętnił umysły publiczności, nie dotarła do uszu Dupina i moich. Zajęci badaniami, które pochłaniały nas całkowicie, niemal od miesiąca nie wychodziliśmy z domu i nie przyjmowaliśmy gości, a w dziennikach przeglądaliśmy zaledwie na-

czelne artykuły polityczne. Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł nam prefekt G. we własnej osobie. Zawitał do nas zaraz po południu 13 lipca 18.. r. i pozostał do późnej nocy. Był do żywego dotknięty niepowodzeniem wszystkich swych wysiłków, zmierzających do wytropienia zabójców. Jego reputacja — jak utrzymywał w tonie iście paryskim — była narażona. Nawet jego honor był zagrożony. Cała publiczność miała zwrócone oczy na niego i, zaiste, nie było ofiary, na którą by się nie zdobył dla przeniknięcia tej tajemnicy. Swe nieco zabawne przemówienie zakończył komplementem na cześć tego, co podobało się mu nazwać taktem Dupina, i bez ogródek uczynił mu bezsprzecznie ponętną propozycję, o której szczegółowiej mówić mi nie wypada, tym bardziej że nie należy ona właściwie do zakresu mego opowiadania.

Za komplement wywzajemnił się mój przyjaciel nie mniejszą uprzejmością, wszelako propozycję przyjął bez wahania, aczkolwiek jej korzyści były tylko przejściowe. Doszedłszy do porozumienia, prefekt jął od razu roztaczać swe poglądy, przeplatając je rozwlekłymi komentarzami do materiału śledczego, którego jednakowoż jeszcze nam nie dostarczył. Mówił długo i bez wątpienia uczenie, pozwoliłem sobie atoli wtrącić uwagę o senności, jaka zwykła towarzyszyć spóźnionej porze. Dupin, nie ruszając się ze swego fotela, zdał się uosobieniem skupionej uwagi. Nie zdejmował okularów, odkąd zaczęła się rozmowa. Ukradkowe spojrzenia, które rzucałem od czasu do czasu za

zielone szkła, przekonały mnie w zupełności, iż spał sobie głęboko i najspokojniej przez siedem czy osiem godzin, które wlokły się jak po smole, zanim prefekt uznał za właściwe nas pożegnać.

Nazajutrz rano wydostałem w prefekturze cały materiał śledczy, zaś w redakcjach dzienników wszystkie numery zawierające ważniejsze wiadomości o tej przykrej sprawie. Po odrzuceniu naleciałości, na pewno niewiarygodnych, ogrom tych informacji dał się streścić, jak następuje:

Maria Rogêt wyszła z mieszkania swej matki przy rue Pavée Saint André około dziewiątej rano w niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca 18.. r. Wychodząc powiedziała Monsieur Jacques Saint Eustache, i tylko jemu jednemu, że wybiera się na cały dzień do ciotki, mieszkającej przy rue des Drômes. Rue des Drômes jest krótkim i wąskim, lecz ludnym zaułkiem, przebiegającym w pobliżu wybrzeża rzeki i oddalonym, w możliwie najkrótszej linii, o jakie dwie mile od pensjonatu Madame Rogêt. Saint Eustache był po słowie z Marią, mieszkał i jadał w pensjonacie. Umówili się, że przyjdzie po swą narzeczoną o zmierzchu i odprowadzi ją do domu. Wszelako po południu jęło lać jak z cebra; przypuszczając zatem, iż pozostanie na noc u swej ciotki (jak to nieraz czyniła przedtem w podobnych okolicznościach), nie uważał za potrzebne dotrzymać obietnicy. Gdy noc zapadła, Madame Rogêt (siedemdziesięcioletnia zniedołężniała staruszka) wyraziła obawę, iż „już Marii więcej

nie zobaczy", ale na te słowa nikt podówczas nie zwrócił uwagi.

W poniedziałek przekonano się, iż dziewczyny przy rue des Drômes nie było, i dopiero kiedy cały dzień minął, a wieści o niej nie nadchodziły, zarządzono spóźnione poszukiwania w kilku punktach miasta i okolicy. Jednakże zaledwie na czwarty dzień po jej zniknięciu udało się zasięgnąć pewniejszych wiadomości. Dnia tego (we środę, dwudziestego piątego czerwca) niejaki Monsieur Beauvais, który wraz ze swym przyjacielem poszukiwał Marii w pobliżu Barrière du Roule, po drugiej stronie Sekwany, naprzeciw rue Pavée Saint André, dowiedział się, iż jakiś rybak tylko co wyłowił trupa, którego ponosił prąd rzeki. Ujrzawszy zwłoki, Beauvais, po niejakim namyśle, rozpoznał w nich pannę z perfumerii. Jego przyjaciel doszedł do tego rozpoznania rychlej.

Twarz była umazana czarną krwią, co sączyła się po części z ust. Nie zauważono piany, którą widuje się u topielców. Tkanka komórkowa nie uległa odbarwieniu. Dokoła gardzieli widniały sińce i odciski palców. Ręce były sztywne i złożone na piersiach. Prawa dłoń była zaciśnięta, lewa częściowo otwarta. Powyżej przegubu lewej zaznaczały się dwa koliste otarcia pochodzące widocznie od powrozów lub jednego powrozu okręconego kilka razy. Część prawej pięści wykazywała również mocne uszkodzenie naskórka, podobnie jak całe plecy, przede wszystkim zaś łopatki. Wyciągając trupa na brzeg rybak obwiązał go po-

wrozem, ale owe uszkodzenia nie pochodziły od tego powroza. Kark był silnie obrzękły. Skaleczeń lub sińców spowodowanych uderzeniami nie dostrzeżono. Natomiast znaleziono kawałek sznurka, tak mocno okręconego dokoła szyi, iż na razie nie było go widać. Wrzynał się on głęboko w ciało i był zawiązany na węzeł poniżej lewego ucha. Wystarczyło to jedno, by spowodować śmierć. Orzeczenie lekarskie stwierdziło nienaganne prowadzenie się zmarłej dziewczyny. Miano dopuścić się na niej zwierzęcego gwałtu. Zwłoki, gdy je znaleziono, były w takim stanie, iż znajomi poznali ją z łatwością.

Odzież była poszarpana i w zupełnym nieładzie. Z odzienia zwierzchniego wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, ale go nie oderwano. Był on okręcony trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięty na krzyżu jak gdyby w pętlę. Bezpośrednio pod suknią zmarła miała na sobie spódniczkę z cienkiego muślinu. Wydarto z niej również, lecz już całkowicie, strzęp na osiemnaście cali szeroki; wydarcia dokonano bardzo równo i nadzwyczaj starannie. Strzęp ten wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł. Ów strzęp muślinu i kawałek sznurka kryły się pod wstążką, na której zwisał kapelusz. Końce wstążki były zawiązane na węzeł, jakim nie posługują się kobiety; znać po nim było rękę marynarza.

Po rozpoznaniu zwłok nie odesłano ich do kostnicy (gdyż ta formalność była zbyteczna), lecz po-

grzebano pospiesznie opodal wybrzeża, gdzie je znaleziono. Dzięki zabiegom Beauvais'go dokładano w miarę możności starań, by sprawa nie nabrała rozgłosu, i dopiero po kilku dniach powstało zaniepokojenie wśród publiczności. W końcu zajął się nią pewien tygodnik. Dokonano ekshumacji zwłok i zarządzono ponowne dochodzenie, nie osiągnięto jednak żadnych innych wyników prócz tych, które były już znane. Uznano jednak za potrzebne pokazać odzież matce i znajomym zmarłej i okazało się, że była ta sama, w której dziewczyna wyszła z domu.

Tymczasem rozdrażnienie wzmagało się z godziny na godzinę. Kilka osób uwięziono i wypuszczono znów na wolność. Zwłaszcza Saint Eustache wydawał się mocno podejrzany; zrazu nie umiał zdać szczegółowo sprawy z tego, co porabiał tej niedzieli, kiedy Maria wyszła z domu. Wszelako później przedłożył prefektowi G. najszczegółowsze i poparte dowodami affidavity ze wszystkich godzin owego dnia. W miarę jak czas mijał, a śledztwo nic nie wykrywało, jęło krążyć tysiące najsprzeczniejszych pogłosek, a dziennikarze wysilali się na sugestie. Śród nich jedna zwróciła powszechną uwagę; ktoś utrzymywał, iż Maria Rogêt żyje, a z Sekwany wyłowiono zwłoki jakiejś innej nieszczęśliwej. Nie od rzeczy może będzie przytoczyć kilka ustępów, nadmieniających o tym przypuszczeniu. Przełożono je dosłownie z „L'Etoile", dziennika redagowanego na ogół nader umiejętnie.

Mademoiselle Rogêt wyszła z mieszkania swej matki w niedzielę rano, dwudziestego drugiego czerwca 18.. r. Jak się wyraziła, miała zamiar odwiedzić swą ciotkę lub innych krewnych, mieszkających przy rue Drômes. Od tej chwili podobno nikt jej nie widział. Wszelki ślad po niej zaginął... Nikt się nie zgłosił, kto by poświadczył, iż zdarzyło się mu widzieć ją tego dnia, od kiedy przestąpiła próg swej rodzicielki... Nie mamy wprawdzie dowodu, że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano Maria Rogêt znajdowała się śród żywych, lecz wiemy na pewno, że do tej godziny jeszcze żyła. We środę około południa dostrzeżono ciało kobiece, unoszone przez fale koło wybrzeża Barrière du Roule. Otóż gdybyśmy nawet przypuścili, że Marię Rogêt wrzucono do rzeki w trzy godziny po wyjściu jej z domu, to od tej chwili upłynęłoby zaledwie trzy dni — ani godziny więcej! Atoli byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo — jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa — mogło odbyć się tak pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą. Kto obarcza swe sumienie taką potworną zbrodnią, ten woli mroki nocne niż światło dzienne... Z tego widzimy, że jeżeli zwłoki znalezione w rzece były istotnie ciałem Marii Rogêt, to przebywały w wodzie półtrzecia dnia lub co najwyżej trzy dni. Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób, wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu. Zapytujemy tedy, co w tym wypadku mogło wywołać odstępstwo od naturalnego porządku rzeczy?... Gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców. Jest także rzeczą nader wątpliwą, żeby trup mógł tak

rychło wypłynąć na powierzchnię, nawet jeżeli się przypuści, iż wrzucono go do wody w dwa dni po śmierci. Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne, żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążywszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania.

Autor artykułu usiłuje dowieść dalej, iż zwłoki musiały przebywać w wodzie „nie trzy dni, ale co najmniej pięć razy po trzy dni", ponieważ rozkład ich był posunięty tak daleko, iż Beauvais z niemałą trudnością zdołał je rozpoznać. Szczegół ostatni był jednakże najzupełniej niezgodny z prawdą. Przytaczam dalszy ciąg wywodów:

Na czym tedy opiera Monsieur Beauvais swe oświadczenie, iż owe zwłoki są niewątpliwie trupem Marii Rogêt? Odwinął rękaw u sukni i znalazł — jak utrzymuje — znamiona, które miały dowieść mu identyczności. Publiczność przypuszczała powszechnie, iż owe znamiona stanowiły jakieś blizny. Przesunął ręką po ramieniu i znalazł na nim włosy — coś tak, naszym zdaniem, nieokreślonego, jak tylko można sobie wyobrazić — coś równie mało znaczącego, jak znalezienie rękawa u sukni. Monsieur Beauvais nie powrócił na noc do domu, lecz o godzinie siódmej we środę wieczorem posłał do Madame Rogêt zawiadomienie, iż śledztwo dotyczące jej córki jest jeszcze w toku. Jeżeli nawet przyjmiemy, że Madame Rogêt, przyciśniona wiekiem i bólem, nie mogła udać się na miejsce wypadku (a dalej w swych przypuszczeniach pójść nie możemy!), to na pewno byłby się znalazł ktoś, kto uważałby, iż warto pójść tam i być obecnym przy śledztwie, gdyby nasuwała się myśl, że owe zwłoki mogą być ciałem Marii. Ale nikt nie przyszedł. W mieszkaniu przy rue Pavée Saint André ani nie mówiono o tej sprawie, ani nawet nie słyszano o po-

głoskach, które krążyły śród mieszkańców tego samego domu. Monsieur Saint Eustache, wielbiciel i narzeczony Marii, który mieszkał w pensjonacie jej matki, zeznaje, iż o znalezieniu zwłok swej narzeczonej dowiedział się dopiero nazajutrz rano, kiedy Monsieur Beauvais wpadł do jego pokoju i opowiedział mu o tym zdarzeniu. Zastanawia nas niepomału, iż tak ważna wiadomość spotkała się z takim chłodnym przyjęciem.

Dziennik usiłuje wywołać w ten sposób wrażenie, jakoby rodzina i znajomi Marii zachowywali się apatycznie, co oczywiście nie godziłoby się z przypuszczeniem, jakoby wierzyli, iż zwłoki te są istotnie zwłokami Marii. Wygląda to, jakby chciano wmówić, iż Maria w porozumieniu ze swymi najbliższymi znikła z miasta dla powodów uwłaczających jej czci dziewiczej i że ci najbliżsi, kiedy w Sekwanie znaleziono zwłoki nieco podobne do niej, korzystając z tej okoliczności, starali się rozpowszechniać śród publiczności przeświadczenie o jej zgonie. Wszelako „L'Etoile" przebrała z pośpiechu miarę. Okazało się niezawodnie, iż rzekoma apatia nie istniała; mianowicie staruszka była zbyt osłabiona i popadła w taki rozstrój, iż nie była zdolna do niczego, zaś Saint Eustache nie tylko że nie przyjął owej wiadomości obojętnie, lecz wprost szalał z bólu i zachowywał się do tego stopnia niepoczytalnie, że Monsieur Beauvais poprosił jednego ze swych krewnych, z którym żył w przyjaźni, by czuwał nad nim i nie pozwolił mu być obecnym przy sekcji zwłok po ich ekshumacji. Aczkolwiek „L'Etoile" utrzy-

mywała ponadto, jakoby powtórne pochowanie zwłok odbyło się na koszt publiczny, jakoby uczynionej propozycji pogrzebania zmarłej prywatnie rodzina bezwarunkowo przyjąć nie chciała i jakoby nikt z rodziny nie był obecny na obchodzie żałobnym; jakkolwiek — powtarzam — „L'Etoile" podawała te wiadomości jako zupełnie pewne, by w ten sposób wzmocnić jeszcze wrażenie, które zamierzała wywołać, to jednak okazały się one nieprawdziwe. W dalszych numerach tegoż samego dziennika jęto podawać w podejrzenie nawet Beauvais'go. Publicysta pisze:

W sprawie tej zaszła obecnie zmiana. Słyszeliśmy, iż pewnego razu, kiedy u Madame Rogêt znajdowała się Madame B., Monsieur Beauvais, który zabierał się do wyjścia, powiedział jej, że lada chwila nadejdzie żandarm i żeby ona, Madame B., nic żandarmowi nie mówiła, aż on powróci, i pozostawiła wszystko jemu... W obecnym stanie rzeczy Monsieur Beauvais zasklepił — jak się zdaje — całą tę sprawę we własnym mózgu. Niepodobna zrobić kroku bez Monsieur Beauvais'go; gdziekolwiek się obrócić, wszędzie się go spotyka... Nie wiadomo, czemu postanowił, iż nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego, zaś krewnych — jak sami utrzymują — w nader osobliwy sposób odsunął na bok. Podobno czynił wszystkie wysiłki, by rodziny nie dopuszczono do obejrzenia zwłok.

Podejrzenia rzucane na Beauvais'go nabrały barw nieco żywszych skutkiem następującego wypadku: na kilka dni przed zniknięciem dziewczyny zaszedł ktoś do jego biura i nie zastawszy go tam zauważył w dziurce od klucza różę, zaś na podręcznej tabliczce wypisane słowo „Maria". Powszechne

przeświadczenie, o ile zdołaliśmy wyłowić je z dzienników, zdawało się streszczać w tym, iż Maria padła ofiarą szajki bandytów, którzy przewieźli ją przez rzekę, zbezcześcili i zabili. Wszelako „Le Commercial”, dziennik nader wpływowy, zwalczał ten rozpowszechniony pogląd. Przytoczę jeden czy dwa ustępy z jego artykułów:

Jesteśmy przekonani, iż pościg podążał dotychczas mylnym tropem, gdyż zwracał się w stronę Barrière du Roule. Jest rzeczą niemożliwą, by osoba, tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo; gdyby zaś ktokolwiek był ją zobaczył, to pamiętałby o tym na pewno, gdyż budziła zajęcie śród wszystkich swych znajomych. Ulice roiły się od ludzi, kiedy wyszła z domu... Niepodobna, żeby idąc w stronę Barrière du Roule lub na rue des Drômes nie była poznana przez jaki tuzin osób, a jednak nikt się nie zgłosił, kto by ją widział poza obrębem rodzicielskiego mieszkania, i prócz jedynego świadectwa, które stwierdza, iż mówiła o swym zamiarze, nie ma nawet pewności, czy w ogóle wyszła z domu. Kawałek jej sukni oddarto, okręcono dokoła jej kibici i zawiązano w ten sposób, iż trupa było można nieść jak pakunek. Gdyby zabójstwa dokonano koło Barrière du Roule, to takie przygotowania byłyby niepotrzebne. Ta okoliczność, iż zwłoki znaleziono koło Barrière nie wyjaśnia bynajmniej, gdzie je wrzucono do wody... Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny, długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła szyi i zawiązano na karku prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa.

Wszelako na dzień czy dwa przed pojawieniem się u nas prefekta policji udało się zasięgnąć nader

ważnej wiadomości, która zdawała się obalać najważniejszą część argumentacji „Le Commercial". Dwaj malcy, synowie niejakiej Madame Deluc, wałęsając się po zaroślach w pobliżu Barrière du Roule, zabłąkali się przypadkiem w gęstwinę, gdzie leżały trzy czy cztery duże kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym leżała biała spódniczka; na innym szarfa jedwabna. Znaleziono tam również parasolkę, rękawiczki i chustkę do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rogêt". Na pobliskich krzakach cierniowych odkryto strzępy ubrania. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźnie ślady walki. Między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy.

Tygodnik „Le Soleil" dodał do opisu tego odkrycia następujący komentarz, który był jakby echem poglądów całej prasy paryskiej:

Rzeczy te leżały tam widocznie co najmniej trzy lub cztery tygodnie; wszystkie zbutwiały od deszczu i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu, gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono... Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek; drugi był zakładką, nie rąbkiem. Wyglądały jak oddarte i wisiały na cierniach na jaką stopę od ziemi... Nie ulega wątpliwo-

ści, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni.

Bezpośrednio po tym odkryciu pojawił się nowy świadek. Madame Deluc zeznała, iż jest właścicielką przydrożnej gospody położonej niedaleko brzegu rzeki, naprzeciw Barrière du Roule. Okolica jest odludna, bardzo odludna. W niedzielę zwykły tam bywać wyrzutki miejskie przeprawiające się przez rzekę łodziami. Około trzeciej po południu pamiętnej niedzieli przybyła do gospody młoda dziewczyna w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze. Para ta zatrzymała się tam czas jakiś. Odchodząc poszli drogą wiodącą w głąb pobliskich gąszczy. Madame Deluc zwróciła uwagę na suknię dziewczyny, gdyż była podobna do stroju jej zmarłej kuzynki. Zwłaszcza zapamiętała dokładnie szarfę. Wnet po odejściu tej pary pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą, co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, i przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem.

Wnet po nastaniu ciemności tego samego wieczora Madame Deluc oraz jej najstarszy syn usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody. Krzyki te były przeraźliwe, lecz trwały krótko. Madame Deluc rozpoznała nie tylko szarfę znalezioną w gęstwinie, lecz także suknię, w której wyłowiono zwłoki.

Konduktor omnibusu, Valence, zeznał również,

iż widział owej niedzieli Marię Rogêt, jak w towarzystwie młodzieńca o smagłej cerze przepływała Sekwanę promem. Ów Valence znał Marię i nie mógł pomylić się co do jej osoby. Przedmioty znalezione w gęstwinie rozpoznała z łatwością rodzina Marii.

To mnóstwo zeznań i wiadomości, zebranych przeze mnie z dzienników na życzenie Dupina, uzupełniało się jeszcze jednym szczegółem — wszelako był to szczegół ogromnie ważny. Oto wnet po odkryciu odzieży w sposób poprzednio opisany znaleziono w pobliżu domniemanego miejsca zbrodni nieżywe lub raczej bliskie zgonu ciało Saint Eustache'a, narzeczonego Marii. Obok niego leżała próżna flaszeczka, z napisem *laudanum*. Z oddechu można było wnioskować, że zażył truciznę. Umarł w milczeniu. Miał przy sobie list, w którym wyznawał pokrótce swą miłość do Marii i zamiary samobójcze.

— Nie potrzebuję ci mówić — rzekł Dupin skończywszy przegląd mych notatek — iż jest to wypadek o wiele bardziej zawiły niż zabójstwo przy rue Morgue, od którego różni się pod jednym nader ważnym względem. Chodzi tu mianowicie o zabójstwo okrutne, lecz zwyczajne. Nie ma w nim niczego, co by było *outré* *. Jak widzisz, z tego względu tajemnica ta wydawała się rzeczą łatwą, tymczasem właśnie z tego względu powinna była

---

* *Outré* (fr.) — przesadne.

uchodzić za niezmiernie trudną do rozwiązania. Dlatego to na razie nie uważano za potrzebne wyznaczyć nagrody. Podwładni prefekta G. zdołali zrozumieć od razu, w jaki sposób i dlaczego mógł się takiego okrucieństwa ktoś dopuścić. Zwidywał się im w wyobraźni sposób — wiele sposobów, i motyw — wiele motywów; a ponieważ nie było rzeczą niemożliwą, żeby jeden z tych mnogich sposobów i motywów mógł być właśnie tym jedynym, przeto uważali za rzecz dowiedzioną, że jeden z nich być nim musi. Tymczasem łatwość, z jaką te różne domysły snuto, oraz pozory słuszności, jakie miał każdy z nich, winny były ostrzegać, iż rozwiązanie zagadki będzie raczej trudne niż łatwe. Zauważyłem, iż rozum w poszukiwaniu prawdy winien torować sobie drogę tylko szczytami, co wznoszą się ponad poziom zwyczajności, i że w podobnych wypadkach nie tyle właściwe jest pytanie: co się stało?, ile pytanie: co się stało takiego, czego przedtem nigdy jeszcze nie było? Podczas śledztwa w domu Madame L'Espanaye agenci prefekta G. byli zakłopotani i zniechęceni niezwykłością wypadku, która dla prawidłowego intelektu była właśnie najniezawodniejszą zapowiedzią powodzenia; natomiast tenże sam intelekt mogłaby przyprawić o rozpacz zwyczajność tego wszystkiego, co objawia się w zdarzeniu z dziewczyną z perfumerii i z czego dotychczas nie wynikło nic prócz płonnych tryumfów urzędników prefektury.

Kiedy chodziło o Madame L'Espanaye i jej cór-

kę, to już od samego początku śledztwa nie ulegało wątpliwości, iż popełniono zabójstwo. Od razu dało się wykluczyć przypuszczenie samobójstwa. W obecnym wypadku możemy być również pewni, iż zmarła nie targnęła się na swe życie. Znaleziono jej zwłoki przy Barrière du Roule w takich okolicznościach, iż nie potrzebujemy łamać sobie głowy nad tym ważnym szczegółem. Wszelako poddawano myśl, że trup ten nie jest zwłokami Marii Rogêt. Za wykrycie jej zabójcy czy zabójców wyznaczono nagrodę i ona to stanowi jedyną podstawę umowy naszej z prefektem. Dobrze znamy obaj tego pana. Nie należy na nim zbytnio polegać. Jeżeli zaczniemy nasze śledztwo od znalezionego trupa i tropiąc następnie zbrodniarza odkryjemy, że są to zwłoki innej osoby, a nie Marii, lub jeżeli przyjmiemy, że Maria żyje, i znajdziemy ją istotnie żywą — to w obu wypadkach praca nasza pójdzie na marne, gdyż trzeba pamiętać, z jakim to panem mamy do czynienia. W imię więc własnego dobra, jeśli już nie w imię sprawiedliwości, jest rzeczą niezbędną, byśmy zaczęli od stwierdzenia, iż owe zwłoki są zwłokami zaginionej Marii Rogêt.

Śród publiczności wywody zamieszczone w „L'Etoile" nie przeszły bez wrażenia. Że redakcja tego dziennika sama jest przeświadczona o ich ważności, widać to z tonu, w jakim rozpoczyna jeden ze swych artykułów omawiających tę sprawę: „Kilka dzienników porannych — brzmi ten początek — wspomina o rozstrzygającym sprawę

artykule, który pojawił się w naszym numerze poniedziałkowym". Dla mnie artykuł ten rozstrzyga zaledwie o pochopności do oskarżeń. Nie zapominajmy, iż na ogół dążeniem dzienników naszych jest raczej pościg za sensacją, łechtanie ciekawości niż sprzyjanie prawdzie. To ostatnie tylko wówczas ma się na uwadze, gdy daje się pogodzić z pierwszym. Pismo, które pozostaje w zgodzie z poglądem utartym (chociażby najlepiej uzasadnionym), nie znajduje uznania śród tłumu. W pojmowaniu gawiedzi głębokość polega tylko na jaskrawym przeciwieństwie do powszechnego zdania. W dziedzinie rozumowania, podobnie zresztą jak w literaturze, najbezpośredniejsze i najpowszechniejsze powodzenie miewa epigram. Tymczasem zarówno w jednej, jak w drugiej zajmuje on miejsce najpośledniejsze.

Chciałbym przez to powiedzieć, iż pomysł, jakoby Maria Rogêt jeszcze żyła, przemówił do przekonania redakcji „L'Etoile" i spotkał się z przychylnym przyjęciem publiczności raczej dlatego, iż jest mieszaniną epigramu i melodramatu, niż dla swej rzeczywistej słuszności. Przyjrzyjmy się wytycznym rozumowania tego dziennika i miejmy się na baczności przed bezładem, który w nich zasadniczo się przejawia.

Pierwszym zamierzeniem publicysty jest wykazać na podstawie krótkości czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem pływającego trupa, iż nie mogą to być zwłoki Marii. Sprowadzenie tej odległości czasu do możliwie najniklejszych roz-

miarów staje się przede wszystkim przedmiotem jego rozumowania. W rączym pościgu za tym przedmiotem zaprzepaszcza się na ślepo w czczych domysłach. „Byłoby niedorzecznością mniemać — powiada — aby zabójstwo, jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa, mogło odbyć się tak pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki przed północą". Zapytujemy od razu i najzupełniej po prostu: dlaczego? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, iż zabójstwa dokonano w pięć minut po wyjściu dziewczyny z domu? Dlaczego niedorzecznością byłoby przypuszczać, że zabójstwa dokonano o każdej dowolnej porze dnia? Zdarzały się zabójstwa w różnych porach. Skoro jednak zabójstwo nastąpiło w jakiejś chwili między dziewiątą w niedzielę rano a trzy kwadranse na dwunastą przed północą, to zawsze znalazło się dość czasu, by „wrzucić zwłoki do rzeki przed północą". Ten domysł zmierza zatem prostą drogą do wniosku, że zabójstwa w niedzielę w ogóle nie dokonano; jeżeli zaś zgodzimy się na ten wniosek redakcji „L'Etoile", to moglibyśmy zgodzić się również na wszystkie inne. Można by sobie wyobrazić, iż ustęp zaczynający się od słów: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo" itd., acz ogłoszony drukiem w tej formie, przedstawiał się rzeczywiście w mózgu autora jak następuje: „Byłoby niedorzecznością mniemać, aby zabójstwo — jeśli w ogóle padła ona ofiarą zabójstwa — mogło odbyć się tak pospiesznie, iż zabójcy zdążyli wrzucić zwłoki do rzeki

przed północą. Byłoby niedorzecznością — powtarzamy — mniemać coś podobnego, a równocześnie przypuszczać (jak postanowiliśmy), iż zwłok nie wrzucono wcześniej jak dopiero po północy" — zdanie, na ogół niezbyt logicznie zbudowane, lecz mimo to nie wyssane tak bardzo z palca, jak to, które pojawiło się w druku.

Gdyby mym zamierzeniem — mówił dalej Dupin — było tylko wykazanie nicości tego ustępu w rozumowaniach publicysty z „L'Etoile", to na pewno pozostawiłbym go w spokoju. Wszelako nie chodzi nam o „L'Etoile", lecz o prawdę. Zdanie rzeczone ma w swym brzmieniu tylko jedno znaczenie, które ustaliłem dokładnie; jest atoli rzeczą istotną, byśmy pod pokrywką słów poszukali myśli, którą te słowa usiłowały nam podsunąć, acz bez powodzenia. Publicysta pragnął powiedzieć, iż bez względu na to, o jakiej porze dnia lub nocy owej niedzieli zabójstwa tego dokonano, było jednakże niepodobieństwem, żeby zabójcy odważyli się zanieść trupa do rzeki przed północą. I na tym właśnie polega domysł, nad którym ubolewam. Przypuszcza się mianowicie, jakoby zabójstwo popełniono w takim miejscu i w takich okolicznościach, iż trzeba było zanieść zwłoki do rzeki. Otóż zabójstwo mogło nastąpić albo na brzegu rzeki, lub też wprost na rzece; wrzucenie zatem trupa do wody mogło odbyć się o każdej porze dnia czy nocy jako przejaw najprostszej i najbezpośredniejszej czynności. Pojmujesz zapewne, iż nie staram się podać niczego, co by było w mym przeko-

naniu prawdopodobniejsze lub zgodniejsze z moimi poglądami. Dotychczasowe moje zamierzenia nie dotyczą wcale faktów tej sprawy. Pragnę tylko, byś miał się na baczności przed tonem, który sugestywnie rozbrzmiewa z „L'Etoile", i zwrócił uwagę na charakterystyczny *parti pris* *, objawiający się od samego początku.

Określiwszy tedy granice, przystosowane do swych z góry powziętych poglądów, przypuściwszy następnie, iż jeżeli istotnie były to zwłoki Marii, to mogły pozostawać w wodzie tylko bardzo krótko — dziennik pisze dalej: „Doświadczenie poucza, iż trupy topielców lub zwłoki osób, wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu".

Zapewnienia te przyjęły w milczeniu wszystkie dzienniki paryskie prócz „Le Moniteur". Pismo to zwalcza tylko tę część ustępu, która odnosi się do „topielców", przytaczając pięć czy sześć przykładów dowodzących, iż zwłoki osób, o których wiedziano na pewno, że utonęły, wypływały na powierzchnię w krótszym czasie, aniżeli podaje „L'Etoile". Atoli jest coś krańcowo niefilozoficz-

* *Parti pris* (łac.) — z góry powzięta opinia.

nego w dążności „Le Moniteur", który zasadnicze twierdzenia redakcji „L'Etoile" chce zwalczać przykładami poszczególnymi. Gdyby nawet udało się przytoczyć piętnascie przykładów, a nie pięć zwłok, które wypłynęły na powierzchnię wody pod koniec drugiego czy trzeciego dnia, to te piętnaście przykładów należałoby właściwie uważać tylko za wyjątki z reguły wygłoszonej przez „L'Etoile", aż do chwili kiedy samą regułę powiodłoby się obalić. O ile przyjmie się tę regułę (a „Le Moniteur" jej nie przeczy, upierając się tylko przy wyjątkach), to argument redakcji „L'Etoile" nie postrada nic ze swej mocy, gdyż argument ten ma na celu tylko jedno zagadnienie, mianowicie zagadnienie, czy zwłoki mogą wypłynąć na powierzchnię w czasie nie przekraczającym trzech dni; zaś możliwość ta wychodzi na korzyść poglądów redakcji „L'Etoile", ile że przykłady, które przytoczono w tak dziecinny sposób, są dość liczne, by ustalić regułę wręcz przeciwną.

Pojmiesz zapewne od razu, iż wszelka argumentacja tego rodzaju winna się zwracać przeciwko tejże samej regule, zaś w tym celu należy dokonać analizy rozumowej tej reguły. Otóż ciało ludzkie nie jest na ogół ani lżejsze, ani cięższe niż woda w Sekwanie, to znaczy, iż ciężar gatunkowy ciała ludzkiego w normalnych warunkach równa się mniej więcej ciężarowi słodkiej wody przez nie wypartej. Ciała osób otyłych i mięsistych o drobnych kościach, przede wszystkim zaś kobiet, są lżejsze niż ciała osób szczupłych i grubokościstych,

osobliwie mężczyzn; zaś ciężar gatunkowy wody rzecznej podlega niejakim wahaniom, o ile daje się w niej odczuwać przypływ od morza. Pomijając jednakże sprawę przypływu, można powiedzieć, iż bardzo niewiele ciał ludzkich idzie na dno, nawet w wodach słodkich, z powodu swych właściwości przyrodzonych. Wszyscy ludzie, którym zdarzy się wpaść do rzeki, mogliby utrzymywać się na powierzchni, gdyby starali się wyrównać ciężar gatunkowy wody z ciężarem gatunkowym własnym — to znaczy, gdyby dokładali starań, żeby — o ile to możliwe — prawie całe ciało było pod wodą. Właściwą pozycją dla człowieka nie umiejącego pływać jest prostopadła postawa ludzi stąpających po suchym lądzie, przy czym głowa winna być odrzucona wstecz i tak zanurzona, by tylko usta i nozdrza znajdowały się ponad powierzchnią. Po przystosowaniu się do tych warunków możemy pływać bez trudności i bez wysiłku. Rozumie się samo przez się, iż ciężar ciała i ciężar wypartej wody znajdują się podówczas w stanie doskonałej równowagi i dość jest drobnostki, by przeważyło ciało lub woda. Wystarczy, na przykład, wynurzyć ramię z wody i pozbawić go w ten sposób oparcia, żeby ten dodatkowy ciężar spowodował zanurzenie całej głowy; odwrotnie, pomoc przypadkowo spotkanego najmniejszego kawałka drewna pozwala wynurzyć głowę z wody i rozejrzeć się dokoła. Otóż ludzie nie obeznani z pływaniem, kiedy pasują się z wodą, wyrzucają zawsze ramiona w górę i równo-

cześnie starają się utrzymać głowę w zwykłej pozycji pionowej. Skutkiem tego ulegają zanurzeniu usta i nozdrza, zaś odruchy, by odetchnąć pod powierzchnią, wprowadzają wodę do płuc. Wiele jej wnika również do żołądka i całe ciało staje się cięższe z powodu różnicy, jaka zachodzi między ciężarem powietrza, które pierwotnie napełniało te narządy, a ciężarem napełniającej je teraz wody. Różnica ta wystarcza w zasadzie, by ciało poszło na dno; wszelako nie jest ona dostateczna, gdy chodzi o osoby z drobnymi kośćmi lub też wyróżniające się nadmierną obfitością pulchnych i tłustych tkanek. Takie osoby pływają nawet po utopieniu.

Trup znajdujący się przypuszczalnie na dnie rzeki pozostaje tam do chwili, kiedy dla tych lub owych powodów jego ciężar stanie się mniejszy od ciężaru wypartej przez niego wody. Może to nastąpić skutkiem rozkładu lub innych przyczyn. Rozkład powoduje wywiązanie się gazów, które rozpulchniają tkanki, wypełniają jamy wnętrza i są przyczyną potwornego dla oczu naszych obrzęku. Gdy to rozdęcie poczyni takie postępy, iż objętość zwłok znacznie się powiększy, wszelako bez równoczesnego przyrostu miąższości, czyli wagi, to ich ciężar gatunkowy staje się mniejszy od ciężaru wypartej wody i natychmiast pojawiają się na powierzchni. Atoli w rozkładzie wywołują zmiany nieprzeliczone okoliczności — przyśpiesza się on lub opóźnia pod wpływem przemnogich czynników. Zależy to, na przykład,

od ciepłoty pory roku; od tego, czy woda jest czysta lub też nasycona składnikami mineralnymi; czy jest głęboka lub płytka; czy jest bieżąca lub stojąca; od właściwości przyrodzonych ciała, wreszcie od tego, czy było przed zgonem zdrowe, czy też dotknięte jakimś zakażeniem. Z tego widać, iż niepodobna jest dokładnie określić czasu, kiedy zwłoki wypłyną na powierzchnię pod wpływem rozkładu. W pewnych razach może to nastąpić już po godzinie, w innych może nie nastąpić wcale. Istnieją rozczyny chemiczne, za pomocą których można na zawsze uchronić organizm przed rozkładem; należy do nich dwuchloran rtęci. Wszelako niezależnie od rozkładu może się wytwarzać i wytwarza się nader często gaz w żołądku skutkiem fermentacji kwaśnej składników roślinnych (w innych zaś jamach wskutek innych przyczyn); jest on wystarczający, by wywołać rozdęcie, które wynosi zwłoki na powierzchnię wody. Następstwa spowodowane wystrzałem działowym są po prostu przejawem wstrząsu. Może on uwolnić zwłoki, które ugrzęzły w pokładzie sypkiego osadu czy namułu, i ułatwić im wydobycie się na powierzchnię, o ile inne czynniki już je do tego przygotowały; albo też rozluźnić spoistość jakiejś przegniłej tkanki i przyczynić się w ten sposób do rozdęcia jam wnętrznych pod ciśnieniem gazu.

Posiadłszy tedy całkowitą filozofię tego przedmiotu, możemy z łatwością sprawdzić twierdzenia publicystów z „L'Etoile". „Doświadczenie poucza — powiada jeden z nich — iż trupy topielców lub

zwłoki osób, wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej, dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegają do tego stopnia rozkładowi, iż mogą wypłynąć na powierzchnię. Nawet gdy do trupa wystrzeli się z działa i kiedy wynurzy się on z wody, zanim minie pięć lub sześć dni od jego utopienia, to znów pójdzie na dno, jeśli pozostawi się go sobie samemu".

Cały ten ustęp przedstawia się nam obecnie jako gmatwanina bezładu i niekonsekwencji. Doświadczenie wcale nas nie poucza, jakoby „trupy topielców" dopiero po sześciu lub nawet dziesięciu dniach ulegały do tego stopnia rozkładowi, iżby mogły wypłynąć na powierzchnię. Zarówno nauka, jak doświadczenie wykazują, iż czas, w jakim one pojawiają się na powierzchni, jest i z konieczności musi być nieokreślony. Ponadto jeśli zwłoki wypłyną na wierzch skutkiem wystrzału działowego, to nie „pójdą znów na dno, jeśli pozostawi się je sobie samym", o ile rozkład nie postąpił tak daleko, iż ujście nagromadzonych gazów jest możliwe. Wszelako pragnąłbym zwrócić twą uwagę na rozróżnienie, jakie uczyniono między „trupami topielców" a „zwłokami osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej". Aczkolwiek autor uwzględnia tę różnicę, to jednak zalicza jedne i drugie do tej samej kategorii. Wykazałem, w jaki sposób ciało tonącego człowieka staje się gatunkowo cięższe od ciężaru wody; wykazałem również, że nie zagłębiałoby się ono wcale w wodę, gdyby nie szamotania, przy

których ramiona wynurzają się z wody, i gdyby nie chwytanie oddechu pod jej powierzchnią — skutkiem czego dostaje się ona do płuc i wypiera stamtąd powietrze. Atoli te szamotania i to chwytanie powietrza nie odbywają się w „zwłokach osób wrzuconych do wody bezpośrednio po śmierci gwałtownej". Toteż w takich razach zwłoki w zasadzie nie powinny wcale iść na dno — jest to zjawisko, o którym publicyści z „L'Etoile" widocznie wcale nie wiedzą. Gdy rozkład poczyni bardzo znaczne postępy — gdy powłoka mięsna w znacznej mierze opadnie z kości — wówczas dopiero, ale nie wcześniej, trup niknie nam z oczu pod wodą.

Cóż teraz poczniemy z argumentem, iż zwłoki znalezione nie mogą być trupem Marii Rogêt, ponieważ wypłynęły na wierzch już po trzech dniach? Gdyby ją utopiono, mogłaby, jako kobieta, w ogóle nie pójść na dno lub gdyby poszła na dno, mogłaby wypłynąć znowu na powierzchnię w dwadzieścia cztery godziny lub nawet w krótszym czasie. Wszelako nikt nie przypuszcza, że ją utopiono; skoro zaś wrzucono ją do rzeki już nieżywą, to można było znaleźć ją później na powierzchni w czasie dowolnym.

„Ale — pisze „L'Etoile" — gdyby te pokaleczone zwłoki przebywały na brzegu do wtorku wieczorem, to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców". Zrazu trudno jest przeniknąć intencję tego rozumowania. Otóż autor jego stara się zapobiec temu, co, jak mu się zdaje, mogłoby być zarzutem prze-

ciw jego teorii — mianowicie, że zwłoki, pozostawione przez dwa dni na brzegu, mogły ulec szybkiemu rozkładowi — znacznie szybszemu, niż gdyby znajdowały się w wodzie. Przypuszcza, że gdyby to zaszło, to byłyby mogły ukazać się na powierzchni we środę, i sądzi, że tylko pod tym warunkiem mogły istotnie się ukazać. Pospiesza zatem, by wykazać, że zwłoki te nie przebywały na brzegu, gdyby bowiem tak było, „to znaleziono by tam jakiś ślad zabójców”. Uśmiechniesz się zapewne z tego wnioskowania. Nie zdoła ci się pomieścić w głowie, dlaczego samo tylko pozostawienie zwłok na brzegu miałoby przyczynić się do pomnożenia śladów po zabójcach. Mnie się nie mieści także.

„Ponadto wydaje się najzupełniej nieprawdopodobne — brzmią dalej słowa owego dziennika — żeby złoczyńcy, którzy rzekomo dopuścili się tej zbrodni, mogli wrzucić ciało do wody nie obciążywszy go przedtem celem zatopienia, skoro ta przezorność była tak łatwa do wykonania”. Zwróć, proszę cię, uwagę na to zabawne poplątanie myśli. Nikt — nawet „L'Etoile” — nie zaprzecza, iż na zwłokach znalezionych dopuszczono się zbrodni. Oznaki gwałtu zbyt są wyraźne. Zadaniem rozumującego publicysty jest po prostu dowieść, iż zwłoki te nie są zwłokami Marii. Chodzi mu o to, by wykazać, że Maria nie padła ofiarą zabójstwa — nie zaś o to, że padł jego ofiarą ów trup. Tymczasem jego rozumowania dowodzą właśnie tego ostatniego. Oto zwłoki, do których nie przytwier-

dzono ciężaru. Zabójcy, wrzucając je do rzeki, byliby niezawodnie przytwierdzili ciężar. Z tego wynika, iż nie wrzucili je zabójcy. Oto wszystko, czego dowiedziono, jeśli w ogóle było czego dowodzić. Zagadnienia identyczności nawet nie poruszono i „L'Etoile" była w wielkim kłopocie, gdy trzeba było zaprzeczyć temu, co utrzymywało się przed chwilą. „Jesteśmy najzupełniej przekonani — pisze — iż zwłoki znalezione są zwłokami zabitej kobiety".

I nie jest to odosobniony przykład, nawet w jednej i tej samej części wywodów, że rozumujący publicysta zwraca się bezwiednie w swych rozumowaniach przeciwko sobie samemu. Oczywistym jego zadaniem jest — jak już wspomniałem — zmniejszyć możliwie najbardziej przedział czasu między zniknięciem Marii a znalezieniem trupa. Atoli przekonaliśmy się, iż obstaje przy tym, jakoby nikt nie widział dziewczyny od chwili, kiedy przekroczyła próg mieszkania. „Nie mamy dowodu — powiada — że w niedzielę, dnia dwudziestego drugiego czerwca, po godzinie dziewiątej rano, Maria Rogêt znajdowała się śród żywych". Ponieważ jego rozumowanie świadczy wyraźnie o *parti pris*, przeto byłby lepiej zrobił, gdyby ten szczegół pominął milczeniem; gdyby bowiem znalazł się ktoś, kto by zeznał, iż widział Marię w poniedziałek lub we wtorek, to wspomniany przedział mógłby doznać znacznego uszczuplenia i wedle jego własnego wnioskowania wielce zmniejszyłoby się prawdopodobieństwo, że owe zwłoki nie są

zwłokami gryzetki. Zabawną wszelako jest rzeczą, gdy się widzi, że „L'Etoile" upiera się przy tym szczególe w niewzruszonym przeświadczeniu, iż wychodzi on na korzyść rozumowania zasadniczego.

Przejrzyj teraz powtórnie tę część wywodów, która odnosi się do rozpoznania zwłok przez Beauvais'go. Co się tyczy owych włosów na ramieniu, to „L'Etoile" objawia najwyraźniej złą wolę. Monsieur Beauvais nie jest idiotą i stwierdzając tożsamość zwłok, nie mógł żadną miarą wnioskować o tym tylko na podstawie włosów na ramieniu. Nie ma ramienia bez włosów. Ogólnikowość wyrażeń w „L'Etoile" jest po prostu przekręcaniem słów świadka. Niewątpliwie mówił on o jakiejś szczególniejszej właściwości tych włosów. Musiała to być właściwość barwy, ilości, długości lub rozmieszczenia.

„Stopy miała drobne — powiada dziennik — ale stóp takich jest tysiąc. Jej podwiązki nie dowodzą niczego, tak samo jej obuwie, gdyż podwiązek i obuwia sprzedaje się na tysiące. To samo dałoby się powiedzieć o kwiatach przy jej kapeluszu. Monsieur Beauvais upiera się zawzięcie przy tej okoliczności, iż, jak okazało się, podwiązki były zwężone skutkiem przesunięcia sprzączki. Nie upoważnia to do żadnych wniosków, gdyż większość kobiet woli zabrać kupione podwiązki do domu i poczynić w nich zmiany odpowiednio do objętości swych nóg, niż przymierzać je w sklepie". Zaiste, trudno jest przypuścić, by mógł ktoś w ten

sposób rozumować poważnie. Skoro Monsieur Beauvais, poszukując zwłok Marii, zdołał znaleźć trupa przypominającego z ogólnych kształtów i wyglądu zaginioną dziewczynę, to miał wszelkie powody mniemać (nawet nie biorąc pod uwagę odzieży), iż poszukiwania jego nie poszły na marne. Jeżeli prócz ogólnego zarysu kształtów znalazł na ramieniu osobliwsze, kosmate znamię, które zdarzyło mu się zauważyć u Marii, kiedy była jeszcze żywa — to mógł słusznie utwierdzić się w swym przeświadczeniu, zaś przyrost jego pewności pozostawał zapewne w prostym stosunku do osobliwości czy niezwykłości owego kosmatego znamienia. Jeżeli Maria miała drobne stopy, zaś stopy trupa były również drobne, to przyrost przeświadczenia, że owe zwłoki są zwłokami Marii, mógł wzmóc się już nie w stosunku arytmetycznym, lecz nawet geometrycznym, czyli spotęgowanym. Dodaj do tego wszystkiego obuwie, najzupełniej nie różniące się od tego, które widziano na jej stopach w dniu, kiedy wyszła z domu, a przeświadczenie twoje, lubo takie obuwie sprzedaje się podobno „na tysiące", stanie u granicy pewności. To, co samo przez się nie stanowiłoby jeszcze oznaki identyczności, nabiera dzięki swemu znaczeniu pomocniczemu mocy dowodu. Uwzględnij na ostatek kwiaty u kapelusza, zgodne z kwiatami, które nosiła zaginiona gryzetka, a dalsze poszukiwania okażą się zbyteczne. Gdyby chodziło tylko o jeden kwiat, to już nie pozostawałoby nic do życzenia — cóż zatem powiedzieć, jeśli ma się ich

dwa, trzy lub więcej? Każdy następny jest dowodem zwielokrotnionym — nie dowodem dodanym do dowodu, lecz stokrotnie czy tysiąckrotnie pomnożonym. Na domiar widzimy u zmarłej podwiązki podobne do tych, jakich używała żywa — i, zaiste, dalsze poszukiwania wydają się szaleństwem! Aliści okazuje się, że te podwiązki są zacieśnione przez przesunięcie sprzączek właśnie w ten sposób, jak to ze swoimi uczyniła Maria na krótko przed wyjściem z domu. Dalsze wątpienie byłoby matołkowatością lub obłudą. To, co „L'Etoile" powiada o zacieśnieniu tych podwiązek, które jakoby miało być czymś powszechnie przyjętym, dowodzi tylko uporczywości w błędzie. Elastyczność podwiązek tego rodzaju świadczy wymownie o wyjątkowości ich zacieśnienia. Przedmiot sporządzony w ten sposób, iż sam się przystosowuje, nader rzadko potrzebuje pomocy do swego przystosowania. Widocznie zaszło coś takiego, iż zacieśnienie tych podwiązek okazało się potrzebne. One jedne wystarczałyby w zupełności, by ustalić identyczność Marii. Wszelako nie stało się w ten sposób, żeby znaleziony trup miał oddzielnie czy to podwiązki zaginionej dziewczyny, czy jej obuwie, czy jej kapelusz, czy kwiaty u jej kapelusza, czy jej stopy, czy osobliwsze znamię na ramieniu, czy wreszcie jej ogólny kształt i wygląd — lecz okazało się, że ów trup nie tylko że ma te cechy, lecz że ma je wszystkie razem. Gdyby można było dowieść, iż publicysta z „L'Etoile" mimo tych okoliczności naprawdę wątpi, to nie

trzeba by zwoływać dla niego komisji *de lunatico inquirendo*. Zdawało mu się, że dowiedzie przenikliwości, gdy stanie się echem gawęd prawników, którzy przeważnie zadowalają się tym, iż wtórują prostolinijnym orzeczeniom trybunałów sądowych. Pozwolę sobie nawiasowo zauważyć, iż bardzo wiele z tego, co dla sądów nie ma mocy dowodu, jest właśnie najlepszym dowodem dla intelektu. Pochodzi to stąd, iż sądy, kierując się ogólnymi zasadami dowodzenia — zasadami uznanymi i skodyfikowanymi — są przeciwne wszelkim odchyleniom ku dowodom faktów poszczególnych. To niezłomne przestrzeganie zasady ze ścisłym pomijaniem sprzecznych wyjątków jest na dłuższy przeciąg czasu niezawodnym sposobem osiągnięcia tego maximum prawdy, jakie dano nam osiągnąć *. Praktyka *en masse* jest zatem filozoficzna; nie da się jednakże zaprzeczyć, iż wynikają stąd wielkie pomyłki w razach wyjątkowych.

Jeżeli weźmie się pod uwagę podejrzenia, zwró-

---

* Teoria oparta na właściwościach jednego przedmiotu nie może osiągnąć rozwoju, który by pozwolił jej ogarnąć wszystkie wchodzące w skład jej przedmioty; kto zaś porządkuje zjawiska wedle ich przyczyn, ten przestaje je oceniać wedle ich wyników. Jakoż dowodzi prawodawstwo wszystkich narodów, iż prawa przestają być sprawiedliwością, kiedy staną się nauką i systemem. Błędy, w jakie ślepa uległość względem zasad klasyfikacji wtrąciła prawo zwyczajowe, nie trudno jest dostrzec, kiedy się zważy, jak często władze ustawodawcze musiały spieszyć z pomocą słuszności, która zdążyła się zatracić w swych schematach (Landor).

cone przeciw Beauvais'mu, to dość jest dmuchnąć, aby rozwiały się wniwecz. Przeniknąłeś już zapewne właściwy charakter tego poczciwca. To wartogłów o zapędach nader romantycznych i o kiepskiej głowie. Ludziom o takim ustroju psychicznym, kiedy są naprawdę wzburzeni, zdarza się zachowywać w ten sposób, iż narażają się na podejrzenia lisów zbyt szczwanych lub osób niechętnych. Monsieur Beauvais (jak okazuje się z twych notatek) rozmawiał kilkakrotnie z redaktorem „L'Etoile" i dotknął go, pozwalając sobie wyrazić pogląd, iż ów trup wbrew teorii tego publicysty jest niezawodnie zwłokami Marii. „Upiera się — pisze dziennik — utrzymując, iż zwłoki te są zwłokami Marii, ale prócz szczegółów już przez nas oświetlonych nie umie przytoczyć niczego, co by mogło utwierdzić innych w tym przeświadczeniu". Otóż pomijając już, iż niepodobna jest przytoczyć bardziej niezbitych dowodów, które by mogły „utwierdzić innych w tym przeświadczeniu", bez trudności można wyobrazić sobie człowieka, który w podobnych razach sam jest najmocniej przekonany, a mimo to nie jest zdolny przytoczyć ani jednego argumentu dla przekonania innych. Nic nie jest bardziej nieuchwytne od wrażenia czyjejś identyczności. Każdy z nas rozpoznaje swego sąsiada, a jednak tylko w rzadkich wypadkach jesteśmy w możności uzasadnić to nasze rozpoznanie. Publicysta z „L'Etoile" nie ma zatem prawa czuć się urażony nieuzasadnionym przeświadczeniem Monsieur Beauvais'go.

Podejrzane okoliczności, w których się zagmatwał, o wiele lepiej dadzą się pogodzić z moją hipotezą romantycznego wartogłowstwa niż z zarzutem winy, o którą go posądza rezonujący publicysta. Wyszedłszy z pobłażliwego założenia, bez trudności zdamy sobie sprawę z róży w dziurce od klucza; ze słowa „Maria" na tabliczce; z „usuwania krewnych na bok"; „z niedopuszczenia rodziny do obejrzenia zwłok"; z polecenia danego Madame B., by nie mówiła z żandarmem, dopóki on, Beauvais, nie powróci; wreszcie z postanowienia, iż „nikt nie ma brać udziału w śledztwie prócz niego samego". Nie ulega dla mnie wątpliwości, że Beauvais był wielbicielem Marii, że go kokietowała i że pochlebiał sobie, jakoby był jej najbliższym i posiadał zupełne jej zaufanie. Nie będę rozwodził się dłużej nad tym szczegółem; ponieważ zaś zeznania świadków obaliły w zupełności twierdzenie publicysty z „L'Etoile", jakoby matka i inni krewni okazywali apatię (która zresztą nie godzi się z przypuszczeniem, iż nie wierzyli, jakoby owe zwłoki były zwłokami panny z perfumerii) — przeto będziemy odtąd prowadzili nasze badania w ten sposób, jak gdyby sprawa identyczności była załatwiona ku najzupełniejszemu naszemu zadowoleniu.

— A co myślisz — zagadnąłem — o zapatrywaniach „Commercial"?

— Że w zasadzie zasługują więcej na uwagę niż wszystkie inne. Wnioski, wysnute z założeń, są filozoficzne i świadczą o przenikliwości; atoli

założenia, przynajmniej w dwu wypadkach, opierają się na niedokładnych spostrzeżeniach. „Le Commercial" podsuwa myśl, jakoby Marię pojmała jakaś szajka znikczemniałych hulaków opodal mieszkania jej matki. „Jest rzeczą niemożliwą — powiada — by osoba tak dobrze znana tysiącom ludzi, jak ta młoda kobieta, mogła minąć trzy domy i nie być widzianą przez nikogo". Jest to rozumowanie człowieka od dawna mieszkającego w Paryżu — rozgłośnego działacza, którego wędrówki po mieście ograniczały się przeważnie do sąsiednich urzędów publicznych. Wie, iż rzadko zdarza mu się oddalić o dwanaście domów od swego biura, by go ktoś nie poznał i nie pozdrowił. I mając na myśli, jak wiele osób sam zna, tudzież jak wielu jest znany, porównywa swą wziętość z wziętością panny z perfumerii, nie widzi między nimi wielkiej różnicy i od razu dochodzi do wniosku, iż chodząc po mieście równie łatwo podlegała rozpoznaniu, jak on sam. Byłoby to słuszne tylko w takim razie, gdyby jej wędrówki miały również ten sam niezmienny, metodyczny charakter i gdyby się odbywały — podobnie jak to z nim bywa — w tym samym ograniczonym zasięgu. Idzie i wraca w odstępach regularnych, nie przekracza ograniczonego terenu, gdzie pełno jest ludzi, którzy zwracają uwagę na jego osobę, gdyż jego zajęcia są pokrewne z ich zajęciami. Natomiast wędrówki Marii — jak trzeba przypuszczać — miały na ogół charakter raczej wałęsania się. W wypadku, który przede wszystkim nas zajmuje, należy uważać za

rzecz nader prawdopodobną, iż wybrała drogę odbiegającą wielce od tych, którymi zwykła była chodzić. Równorzędność, która, zdaniem moim, wytworzyła się w umyśle publicysty z „Le Commercial”, mogłaby mieć uzasadnienie tylko w takim razie, gdyby wzięło się pod uwagę dwie osoby chodzące po całym mieście. W tym wypadku, jeżeli przyjmiemy, że liczba ich znajomości jest równa, istnieje prawdopodobieństwo, iż liczba spotkanych znajomych będzie także równa. Osobiście uważałbym za rzecz nie tylko możliwą, lecz nawet więcej niż prawdopodobną, iż Marii zdarzyło się chodzić o różnych porach i różnymi drogami prowadzącymi z jej mieszkania do mieszkania jej ciotki i nie spotykać przy tym ani jednej osoby, którą by znała lub przez którą byłaby znana. Chcąc ujrzeć to zagadnienie w pełnym i właściwym świetle, nie można zapominać ani na chwilę o bezmiernej różnicy, jaka zachodzi między ilością znajomych najbardziej nawet znanego w Paryżu człowieka a liczbą wszystkich mieszkańców tej stolicy.

Jeżeli jednak domysł „Le Commercial” może przedstawiać jeszcze jaką wartość, to zmniejszy się ona wielce, gdy weźmiemy pod uwagę godzinę, o której dziewczyna wyszła na miasto. „Ulice roiły się od ludzi — pisze „Le Commercial” — kiedy wyszła z domu”. Tymczasem stało się inaczej. Była dziewiąta rano. Otóż o dziewiątej każdego dnia w tygodniu, prócz niedzieli, ulice miasta istotnie roją się od ludzi. O dziewiątej w niedzielę mieszkańcy

są przeważnie w domu i przygotowują się, by pójść do kościoła. Człowiek nie pozbawiony zmysłu spostrzegawczego musi zauważyć szczególnie opustoszały wygląd miasta od ósmej do dziesiątej rano co niedziela. Od dziesiątej do jedenastej rano ulice są zatłoczone, nie dzieje się to atoli o tak wczesnej porze, jak w dzienniku podano.

Jest jeszcze inny szczegół, co do którego spostrzegawczość „Le Commercial" nie dopisała. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny — powiada on — długi na dwie stopy i szeroki na jedną oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić krzyk. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa". O ile ten pogląd jest lub nie jest uzasadniony, przekonamy się później; jednakże publicysta mniema, iż owymi „złoczyńcami, którzy nie mieli nawet chustki do nosa" były najnędzniejsze rzezimieszki. Tymczasem ci właśnie należą do ludzi, którzy nawet wówczas posiadają chustki do nosa, gdy nie mają na grzbiecie koszuli. Zauważyłeś zapewne, jak od pewnego czasu chustka do nosa stała się wprost niezbędna dla skończonych opryszków.

— A cóż należy myśleć — zapytałem — o artykule w „Le Soleil"?

— Jaka to szkoda, że redaktor tego czasopisma nie urodził się papugą, gdyż byłby niewątpliwie znakomitością śród tej ptasiej odmiany. Powtórzył on po prostu poglądy już ogłoszone, szperając za nimi z chwalebną zapobiegliwością po różnych

dziennikach. „Rzeczy te leżały tam widocznie — powiada on — co najmniej ze trzy lub cztery tygodnie” i „nie ulega wątpliwości, iż powiodło się odkryć widownię tej ohydnej zbrodni”. Szczegóły, przytoczone ponownie przez „Le Soleil”, nie nadają się, zaiste, do rozproszenia mych wątpliwości w tej sprawie i przyjdzie nam je szczegółowiej zbadać w związku z innym działem tego zagadnienia.

Obecnie musimy się zająć odmiennymi dochodzeniami. Niepodobna, żebyś nie zauważył, jak pobieżnie dokonano badania zwłok. Zapewne, iż zagadnienie identyczności nie przedstawiało lub przynajmniej nie powinno było przedstawiać większych trudności; atoli pozostawały jeszcze inne szczegóły do sprawdzenia. Czy dopuszczono się na tych zwłokach jakiej grabieży? Czy zmarła miała na sobie jakie kosztowności, gdy wychodziła z domu? Jeżeli zaś miała, to czy je odnaleziono? Są to zagadnienia wielkiej wagi, zupełnie pominięte przy śledztwie; a znalazłyby się inne, nie mniej ważne, na które nie zwrócono uwagi. Poczynimy starania, by dowiedzieć się o tym wszystkim na własną rękę. Sprawę Saint Eustache'a należy poddać ponownemu zbadaniu. Nie mam go w podejrzeniu, ale należy działać metodycznie. Musimy się upewnić ponad wszelką wątpliwość co do wiarogodności affidavitów zaświadczających, gdzie przebywał kolejno owej pamiętnej niedzieli. Dokumenty tego rodzaju bywają niejednokrotnie środkiem mistyfikacji. Jeżeli okażą się bez zarzutu, to pominiemy Saint Eustache'a przy dalszych dochodzeniach. Jego samobójstwo, które

przyczyniałoby się do wzmocnienia podejrzeń, gdyby w owych affidavitach odkryto jakieś krętactwa, nie jest — o ile ich się nie znajdzie — bynajmniej czymś nieprzeniknionym lub czymś, co by zniewalało nas do zboczenia od zwyczajnej analizy.

W tym, co obecnie mam na celu, zamierzam pominąć wewnętrzne szczegóły tej tragedii, a skupić całą uwagę na jej zarysach zewnętrznych. W dochodzeniach takich jak niniejsze popełnia się zazwyczaj ten błąd, iż ogranicza się śledztwo do szczegółów bezpośrednich, a nie dba się zupełnie o zdarzenia uboczne lub okolicznościowe. Jest to nader niewłaściwe ze strony sądów, iż zacieśniają zeznania i dyskusję do tego, co namacalnie mieści się w zakresie danej sprawy. Bowiem doświadczenie już wykazało, a prawdziwa filozofia będzie zawsze wykazywała, że znaczna, może nawet większa część prawdy wynika z okoliczności pozornie ze sprawą nie związanych. Z ducha tej zasady, jeżeli niekoniecznie z jej litery, pochodzi to zjawisko, że wiedza nowoczesna skłonna jest do rozumowania na nieprzewidziane. Ale może ty mnie nie pojmujesz? Dzieje wiedzy ludzkiej dowodziły z taką nieprzerwaną ciągłością, iż zdarzeniom ubocznym, przypadkowym i nieistotnym zawdzięczamy najliczniejsze i najważniejsze odkrycia, że w końcu trzeba było, licząc się z przyszłością dalszego postępu, poczynić nie tylko wielkie, ale nawet bardzo wielkie ustępstwa dla wynalazków poczynających się z przypadku i znajdujących się poza obrę-

bem oczekiwań zwyczajnych. Niefilozoficznie już jest szukać oparcia na minionej wizji tego, co być powinno. Trzeba pozwolić, by przypadek stał się częścią podwalin. Dla nas jest on przedmiotem ścisłego rozumowania. Podporządkujemy to, co jest niedościgłe dla wyobraźni, czemu nie może sprostać przewidywanie, matematycznym formułom naukowym.

Jest już więcej niż pewnikiem — powtarzam raz jeszcze — iż większa część wszelkiej prawdy bierze początek ze zjawisk ubocznych. Będzie to więc najzupełniej zgodne z duchem zasady zawartej w tym twierdzeniu, gdy w sprawie, która nas obchodzi, odstąpię od badań na ubitym i dotychczas jałowym gruncie samego zdarzenia i zwrócę się do współczesnych okoliczności, których jest ono ośrodkiem. Ty zabierzesz się do sprawdzenia wiarogodności affidavitów, o których mówiliśmy, ja zaś zajmę się zbadaniem dzienników nieco szczegółowiej, niż ty to czyniłeś. Dotychczas rozglądaliśmy się tylko po polu badania; lecz byłoby, zaiste, rzeczą dziwną, gdyby rozumowy przegląd pism codziennych, którego się podejmę, nie dostarczył nam kilku drobnych wskazań, pomocnych do ustalenia kierunku dochodzeń.

Wywiązując się z zadania poruczonego mi przez Dupina, poddałem dokładnemu badaniu sprawę affidavitów. Wynikiem było niewzruszone przeświadczenie o ich wiarogodności i — co za tym idzie — o niewinności Saint Eustache'a. Tymczasem mój przyjaciel pogrążył się z drobiazgowością, która

wydawała mi się najzupełniej zbyteczną, w przeglądaniu wycinków z różnych dzienników. Pod koniec tygodnia przedłożył mi wypisy następujące:

Mniej więcej półczwarta roku temu powstało zamieszanie nader podobne do obecnego, wywołane zniknięciem tejże samej Marii Rogêt z perfumerii Monsieur Le Blanca w Palais Royal. Wszelako pod koniec tygodnia pojawiła się znowu przy kasie sklepowej, najzupełniej zdrowa, acz nieco bledsza niż zazwyczaj. Monsieur Le Blanc i jej matka rozgłaszali, iż przebywała na wsi u jakiejś przyjaciółki, i cała ta sprawa rychło przycichła. Przypuszczamy, iż nieobecność teraźniejsza jest podobnym wybrykiem i że po upływie tygodnia lub może miesiąca znowu do nas zawita. („Evening Paper" z poniedziałku, 23 czerwca.)

Jeden z dzienników wieczornych w numerze wczorajszym napomyka o poprzednim zagadkowym zniknięciu Mademoiselle Rogêt. Wiadomo powszechnie, iż zniknąwszy z perfumerii Le Blanca przebywała przez tydzień w towarzystwie młodego oficera marynarki, znanego rozpustnika. Podobno jakaś sprzeczka sprowadziła ją z powrotem do domu. Znamy nazwisko rzeczonego Lotharia, który obecnie przebywa w Paryżu, lecz dla łatwo zrozumiałych powodów nie uważamy za właściwe podawać go do wiadomości publicznej. („Le Mercure", środa rano, 24 czerwca.)

Ohydnej zdrożności dopuszczono się przedwczoraj rano w pobliżu miasta. Pewien pan, w towarzystwie swej żony i córki, ugodził się o zmierzchu z sześciu młodzieńcami, których łódź krążyła bez celu w pobliżu mielizn na Sekwanie, iż przewiozą go przez rzekę. Podpłynąwszy do przeciwległego brzegu troje pasażerów wysiadło i odeszli tak daleko, iż łodzi nie było już widać, kiedy dziewczyna zauważyła, iż zapomniała parasolki. Wróciła po nią, lecz wpadła w ręce owych złoczyńców, którzy zabrali ją ze sobą na rzekę, zwią-

zali, nikczemnie sponiewierali i w końcu wysadzili na ląd opodal miejsca, gdzie poprzednio wsiadła do łodzi ze swymi rodzicami. Niegodziwcom udało się ujść na razie, ale policja jest na ich tropie i wkrótce kilku z nich uwięzi. („Morning Paper", 25 czerwca.)

Otrzymaliśmy jeden czy dwa listy, które chcą zwalić na Mennais'go* ohydę niedawno popełnionej zbrodni; ponieważ jednak śledztwo sądowe wykazało zupełną jego niewinność, zaś argumenty niektórych korespondentów naszych wynikają — jak się zdaje — raczej z zapalczywości niż rozwagi, przeto nie uważamy za właściwe podawać ich do wiadomości publicznej („Morning Paper", 28 czerwca).

Otrzymaliśmy kilka energicznie brzmiących komunikatów, pochodzących zapewne z różnych źródeł. Utrzymują one z całą stanowczością, iż nieszczęśliwa Maria Rogêt padła ofiarą jednej z licznych szajek opryszków, wałęsających się co niedziela w pobliżu miasta. Wedle naszego mniemania przypuszczenia te są najzupełniej słuszne. Postaramy się wkrótce omówić szerzej niektóre z podanych argumentów („Evening Paper", wtorek, 31 czerwca).

W poniedziałek jeden z przewoźników, pozostających na służbie władz skarbowych, zauważył na Sekwanie pustą łódź, ponoszoną prądem rzeki. Na dnie tej łodzi leżały żagle. Przewoźnik zawlókł ją na linie do urzędu portowego. Następnego ranka zabrał ją ktoś stamtąd bez wiedzy urzędników. Ster pozostał w urzędzie portowym („La Dilligence", czwartek, 6 czerwca).

Czytając te wypisy, doznawałem wrażenia, iż nie mają nic wspólnego ze sprawą, i nie mogłem zro-

---

* Mennais był jedną z osób zrazu podejrzanych i aresztowanych; rychło go jednak uwolniono dla zupełnego braku dowodów.

zumieć, w jaki sposób można by je z nią powiązać. Oczekiwałem zatem wyjaśnień od Dupina.

— Nie jest obecnie mym zamierzeniem — odezwał się — kłaść nacisk na pierwsze dwa wypisy. Przepisałem je głównie w tym celu, by wykazać ci krańcowe niedbalstwo policji, która — o ile dowiedziałem się od prefekta — nie postarała się bynajmniej o wywiad w sprawie wzmiankowanego oficera marynarki. Ależ to istne szaleństwo utrzymywać, iż między jednym a drugim zniknięciem Marii nie ma przypuszczalnego związku! Wyjdźmy z założenia, iż pierwsza ucieczka skończyła się sprzeczką między kochankami i powrotem pod dach rodzicielski zawiedzionej dziewczyny. Pozwoli nam to uważać powtórną ucieczkę (o ile uznamy, iż była to ucieczka) raczej za wskazówkę wznowionych starań uwodziciela niż za wynik umizgów jakiegoś nowego wielbiciela — czyli jesteśmy przygotowani do poglądu, iż było to raczej „sklejenie" dawniejszej miłostki niż nawiązanie nowej. Przemawia za tym dziesięć przeciw jednemu, że człowiek, który już raz uciekał z Marią, mógł ją łatwiej namówić do ponownej ucieczki, niż żeby Maria, którą namówił przedtem do ucieczki jeden człowiek, dała się do niej nakłonić drugiemu. Tutaj pozwolę sobie zwrócić twoją uwagę na tę okoliczność, iż przedział czasu między pierwszą sprawdzoną a drugą domniemaną ucieczką różni się zaledwie o parę miesięcy od okresu, w jakim zwykły przebywać na pełnym morzu nasze okręty wojenne. Czy owemu kochankowi w jego pierwszej niegodziwości prze-

szkodziła konieczność wyjazdu na morze i czy po powrocie skorzystał z pierwszej sposobności, by wznowić swe nikczemne zabiegi, jeszcze niezupełnie zakończone? Nic o tym wszystkim nie wiemy.

Mógłbyś jednak powiedzieć, że w drugim wypadku mamy do czynienia tylko z domniemaną ucieczką. Zapewne — lecz czyż możemy utrzymywać, że nie było zamiarów udaremnionych? Poza Saint Eustache'em i może Beauvais'm nie wiemy nic o uznanych, jawnych, godnych wielbicielach Marii. Nie mówiono o nikim innym. Któż zatem jest owym tajemniczym kochankiem, o którym krewni (przynajmniej ich większość) nic nie wiedzą, lecz z którym Maria spotyka się w niedzielę rano i w którym takie pokłada zaufanie, iż nie waha się przebywać z nim aż do samego zmierzchu w ustronnych zagajnikach przy Barrière du Roule? Któż jest — powtarzam — owym tajemniczym kochankiem, o którym przynajmniej większość krewnych nic nie wie? I co znaczyła osobliwsza przepowiednia Madame Rogêt, która rano, po odejściu Marii, powiedziała: „Obawiam się, że Marii już nigdy nie zobaczę".

Skoro jednak niepodobna podejrzewać, że Madame Rogêt wiedziała o zamiarze ucieczki, to czyż przynajmniej nie można przypuszczać, iż zamiar ten dziewczyna powzięła? Wychodząc z domu uprzedziła, iż wybiera się do swej ciotki przy rue des Drômes, zaś Saint Eustache miał przyjść po nią o zmierzchu. Otóż, na pierwszy rzut oka, okoliczność ta pozostaje w jaskrawej sprzeczności

z mym przypuszczeniem; ale zastanówmy się dokładniej! Wiadomo jest, iż znalazła po drodze jakiegoś towarzysza, że przeprawiła się z nim przez rzekę i wysiadła na ląd koło Barrière du Roule późno, gdyż dopiero około trzeciej po południu. Wszelako zgadzając się towarzyszyć owemu osobnikowi (dla jakiegoś celu — znanego lub nie znanego jej matce), myślała niewątpliwie o tym, co powiedziała wychodząc z domu tudzież o zdumieniu i podejrzeniach, jakie musiałyby zaląc się w umyśle jej narzeczonego Saint Eustache'a, gdyby przyszedłszy o umówionej godzinie na rue des Drômes, nie zastał jej tam i gdyby na domiar, powróciwszy do pensjonatu z tą niepokojącą wiadomością, dowiedział się, że wciąż jeszcze jest nieobecna. Powtarzam, iż musiała myśleć o tym. Musiała przewidywać zmartwienie Saint Eustache'a i podejrzenia całej swej rodziny. Niepodobna, żeby nie myślała, iż po powrocie narazi się na te podejrzenia, które natomiast stawały się dla niej czymś nader błahym, jeżeli przyjmiemy, iż nie zamierzała powrócić.

Można by sobie wyobrazić, iż tok jej myśli był następujący: „Mam się spotkać z kimś celem ucieczki lub dla jakichś innych powodów, znanych tylko mnie samej. Trzeba urządzić się tak, żeby nic nie stanęło na przeszkodzie — trzeba zyskać na czasie, byśmy mogli ujść pościgu — rzucę od niechcenia, że wybieram się na cały dzień do mej ciotki przy rue des Drômes — powiem narzeczonemu, żeby przyszedł po mnie dopiero o zmierz-

chu — w ten sposób nieobecność moja przeciągnie się możliwie długo, nie budząc zaniepokojenia i podejrzeń, ja zaś więcej zyskam na czasie, niż gdybym postąpiła inaczej. Jeżeli poproszę Saint Eustache'a, by przyszedł po mnie o zmierzchu, to na pewno nie przyjdzie wcześniej; jeżeli natomiast nie poproszę go o to wcale, to czas nadający się do ucieczki znacznie się zmniejszy, gdyż wszyscy będą oczekiwali, że powrócę wcześniej, a nieobecność moja rychlej wywoła zaniepokojenie. Gdybym w ogóle zamierzała powrócić, gdybym chciała tylko odbyć wycieczkę z osobą mi wiadomą — to nie byłoby dowcipnie z mej strony prosić Saint Eustache'a, by przyszedł po mnie, gdyż przyszedłszy, dowiedziałby się na pewno, że wyprowadziłam go w pole — o czym mógłby zupełnie nie wiedzieć, gdybym wyszła z domu nie mówiąc mu o swych zamiarach, powróciła przed zmierzchem, a następnie opowiedziała, iż byłam u ciotki przy rue des Drômes. Ponieważ jednak nie zamierzam wcale powrócić — lub też powrócę po kilku tygodniach, albo wówczas, kiedy zdążę się z czymś ukryć — zysk na czasie jest jedynym względem, o który muszę się troszczyć".

Zaznaczyłeś w swych notatkach, iż powszechnie mniema się i mniemało od samego początku, jakoby ta dziewczyna padła ofiarą szajki opryszków. Otóż opinii powszechnej nie należy w pewnych razach lekceważyć. Jeżeli poczyna się sama przez się, jeżeli objawia się wprost odruchowo, trzeba uważać ją za przejaw podobny do intuicji, która

jest właściwością jednostek genialnych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto polegałbym na jej orzeczeniach. Wszelako jest rzeczą ważną, by nie nosiła śladów jakiejś sugestii. Opinia winna być ściśle własnym odruchem publiczności i niejednokrotnie jest nader trudno wyczuć tę różnicę i ją określić. Zdaje mi się, iż w wypadku obecnym ta „opinia publiczna", o ile chodzi o ową szajkę, dała się powodować zdarzeniu ubocznemu, przytoczonemu w trzecim moim wypisie. Cały Paryż jest podniecony odkryciem zwłok Marii, dziewczyny młodej, pięknej i znanej. Zwłoki te, spdniewierane znamionami okrucieństwa, znaleziono pływające po rzece. I oto rozchodzi się wiadomość, iż w tym samym lub niemal w tym samym czasie, kiedy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa na dziewczynie tej dopuszczono się zabójstwa, zdarzyła się inna niegodziwość, podobna do tej, której uległa zmarła, aczkolwiek nie tak potworna, i że sprawcami jej była szajka młodych złoczyńców, zaś ofiarą również młoda kobieta. Czyż jest w tym coś dziwnego, iż znane szkaradzieństwo może oddziałać na opinię publiczną także w stosunku do nieznanego? Opinia ta domagała się wskazówek, a owa zbrodnia znana nastręczała je tak pochopnie! Przy tym Marię znaleziono w rzece, zaś owej zbrodni znanej dokonano nad tąż samą rzeką! Łączność, zachodząca między tymi dwoma zdarzeniami, była tak bardzo namacalna, iż byłoby dziwem nad dziwami, gdyby lud zaniedbał pochwycić ją i ocenić. Tymczasem rzecz

przedstawia się tak, że jedna okropność, o której wiadomo, w jaki sposób została dokonana, jest niemal niezawodną wskazówką, że druga okropność, której dopuszczono się prawie równocześnie, nie będzie dokonana w ten sam sposób. Byłoby zaiste cudem, gdyby nastąpił taki zbieg okoliczności, iż kiedy jedna szajka złoczyńców popełnia w danej miejscowości niesłychaną niegodziwość, omal równocześnie pojawia się inna, podobna szajka, w podobnej miejscowości, w tym samym mieście, w tych samych okolicznościach, rozporządzająca takimi samymi środkami i posługująca się nimi w ten sam sposób dla dokonania jota w jotę podobnej ohydy! W cóż jednak każe nam wierzyć przypadkowo zasugerowana opinia publiczna, jeśli nie w taki osłupiający zbieg okoliczności?

Zanim podążymy dalej, zastanówmy się nad domniemaną widownią zabójstwa w gęstwinie koło Barrière du Roule. Zarośla te, aczkolwiek gęste, rozpościerają się tuż obok gościńca. W ich głębi leżą trzy czy cztery wielkie kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Na kamieniu górnym znaleziono białą spódniczkę, zaś na innym szarfę jedwabną. Leżała tam również parasolka, rękawiczki i chustka do nosa. Chustka była naznaczona napisem „Maria Rogêt". Na pobliskich krzakach widniały strzępy odzieży. Ziemia była zdeptana, krzewy połamane, słowem, znać było wyraźne ślady zaciekłej walki.

Mimo poklasku, z jakim odkrycie tej gęstwiny przyjęła prasa, i mimo jednomyślności, z jaką

przypuszczano, iż stanowi ona właściwą widownię zbrodni, trzeba przyjąć, iż istnieje sporo nie byle jakich względów, które każą o tym wątpić. Iż była widownią, można wierzyć lub nie wierzyć, ale wątpieniu oprzeć się nie można. Jeżeli rzeczywista widownia znajdowała się — jak domyśla się „Le Commercial" — w pobliżu rue Pavée Saint André, to sprawców tej zbrodni, którzy wedle mojego przypuszczenia przebywają wciąż jeszcze w Paryżu, ogarnęło niezawodnie przerażenie, gdy przekonali się, iż uwaga publiczna zdołała z taką przenikliwością zwrócić się we właściwe łożysko; zaś w pewnego rodzaju umysłach mogło od razu rozbudzić się poczucie, iż trzeba coś uczynić, by odwrócić tę uwagę w inną stronę. A ponieważ gęstwina koło Barrière du Roule wydawała się już podejrzana, przeto mógł zrodzić się pomysł umieszczenia tam przedmiotów, które później znaleziono. Wbrew temu, co „Le Soleil" przypuszcza, nie ma istotnych dowodów, że przedmioty znalezione leżały dłużej niż kilka dni w zaroślach; natomiast więcej przemawia za tym, iż nie mogły pozostawać tam, nie zwracając niczyjej uwagi, przez dwadzieścia dni, które upłynęły między fatalną niedzielą a owym popołudniem, kiedy znaleźli je chłopcy. „Wszystkie zbutwiały od deszczu — wyraża się „Le Soleil" przywłaszczając sobie mniemania swych poprzedników — i pozlepiały się pleśnią. Dokoła wybujała trawa i po części je zakryła. Jedwab na parasolce był mocny, ale szwy puściły. Część górna pokrycia w tym miejscu,

gdzie tkanina miała podkładkę i była sfałdowana, zbutwiała i przegniła do tego stopnia, iż rozdarła się, kiedy parasolkę otworzono”. Jeżeli jest mowa o tym, że trawa „wybujała dokoła i po części je zakryła”, to oczywista, że szczegół ten mógł znaleźć potwierdzenie tylko w słowach, którymi przejawiły się wspomnienia dwu malców, gdyż ci malcy zabrali owe przedmioty i zanieśli je do domu, zanim zdążył zobaczyć je ktoś trzeci. Przy tym trawa, jeśli pogoda jest ciepła i wilgotna (a taka właśnie była w okresie owego zabójstwa), może uróść w przeciągu jednego dnia na dwa do trzech cali. Parasolka, położona na świeżo kiełkującej murawie, może zniknąć zupełnie sprzed oczu w przeciągu tygodnia pod bujnie rozwijającą się zielenią. Co zaś do owej pleśni, przy której publicysta z „Le Soleil” obstaje z taką uporczywością, iż używa tego słowa aż trzy razy w krótkim ustępie, tylko co przytoczonym, to czyż podobna, żeby naprawdę nie zdawał sobie sprawy z rodzaju tej pleśni? Czy trzeba go pouczać, iż jest to jedna z licznych odmian grzybka, którego najpospolitsza właściwość polega na tym, iż pleni się i zanika w przeciągu dwudziestu czterech godzin?

Widzimy zatem od pierwszego wejrzenia, iż to, co tak tryumfująco przytaczano na poparcie poglądu, jakoby owe przedmioty leżały „co najmniej trzy lub cztery tygodnie” w gęstwinie, jest skończoną niedorzecznością, o ile chodzi o jakiekolwiek uzasadnienie. Z drugiej strony jest nadzwyczaj trudno uwierzyć, żeby owe przedmioty mogły

leżeć w rzeczonej gęstwinie dłużej niż tydzień — dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej. Kto zna trochę okolice Paryża, ten wie, jaką ogromną trudność przedstawia znalezienie ustronia, o ile go się nie szuka w znacznej odległości od krańców miasta. Zakątek nie zbadany lub bodaj nieczęsto odwiedzany w tych lasach i zagajnikach nie da się wprost pomyśleć. Jeżeli jakiś szczery miłośnik przyrody, uwięziony swymi obowiązkami śród kurzu i skwaru tej wielkiej metropolii, zechce, chociażby w dzień powszedni, ugasić pragnienie samotności śród zmiennych uroków przyrody, która bezpośrednio nas otacza — to nie zdąży postąpić nawet dwu kroków, żeby wszczynającego się zaklęcia nie rozproszyło nawoływanie lub osobiste pojawienie się jakiegoś hultaja czy szajki zapitych opryszków. Będzie szukał zacisza śród najgęstszego listowia, ale na próżno. Właśnie w tych ustroniach roi się po prostu od ludzkiego niechlujstwa — są to najbardziej zbezczeszczone świątynie. Z niesmakiem w duszy wróci wędrowiec pospiesznie do Paryża, by zapaść w stek ohydy, wszelako mniej odrażającej, gdyż nie tak bezecnej. Skoro więc okolice podmiejskie w dni powszednie są tak nawiedzane, to cóż dopiero mówić o niedzieli! Jest to dzień, kiedy wyzwolone z pęt pracy lub pozbawione zwykłej sposobności do występku wszelkie szumowiny miejskie wyruszają za miasto, nie z upodobania do uroków sielskich, którymi w głębi duszy gardzą, lecz żeby uniknąć przymusów i nawyków kulturalnych. Pożądają one nie

tyle świeżego powietrza i zieleni drzew, co nieskrępowanej swawoli, jakiej używa wieś. Tutaj, w przydrożnej karczmie lub w cieniu drzew, czując, że nie śledzi ich już spojrzenie niczyje prócz oczu godnych towarzyszy, pogrążają się te wyrzutki w rozpasaniu kłamanej wesołości — co jest pomiotem rumu i swobody. Nie nadmienię nic ponad to, co każdemu nie uprzedzonemu a spostrzegawczemu człowiekowi po prostu rzuca się w oczy, wszelako powtarzam, iż byłoby niemal cudem, gdyby zdarzyło się, że rzeczone przedmioty pozostawałyby nie tknięte w jakiejkolwiek gęstwinie tuż pod Paryżem dłużej niż od jednej niedzieli do drugiej.

Atoli istnieją jeszcze inne powody do przypuszczeń, iż owe przedmioty umieszczono w gęstwinie celem odwrócenia uwagi od właściwej widowni zbrodni. Przede wszystkim pozwolę sobie zwrócić twą uwagę na datę znalezienia tych przedmiotów. Zestaw ją z datą piątego mojego wypisu z dzienników. Przekonasz się, że odkrycie to nastąpiło niemal bezpośrednio po rozesłaniu natarczywych komunikatów do dzienników wieczornych. Komunikaty te, aczkolwiek różne i na pozór z różnych pochodzące źródeł, zmierzają wszystkie ku temu samemu celowi — mianowicie, by zwrócić uwagę na szajkę sprawców zbrodni i na okolicę Barrière du Roule jako domniemaną jej widownię. Otóż podejrzenie polega na tym, iż skutkiem owych komunikatów czy też uwagi publicznej, przez nie pokierowanej, malcy znaleźli te przedmioty; lecz

mogłoby i może polegać na tym, że dzieci nie znalazły wcześniej tych przedmiotów, ponieważ ich w zaroślach nie było. Umieścili je tam równocześnie z datą lub na krótko przed datą owych komunikatów ich winni autorzy.

Te zarośla były osobliwe — nader osobliwe. Odznaczały się nadzwyczajną gęstością. W okolu ich samorodnych ścian znajdowały się trzy szczególniejsze kamienie, tworzące jakby krzesło z oparciem i podnóżkiem. Zaś gęstwina ta, pełna uroków przyrodzonego artyzmu, znajdowała się w bezpośrednim pobliżu, o kilka prętów od mieszkania Madame Deluc, której malcy mieli zwyczaj starannie przetrząsać chaszcze, poszukując kory sassafrasu. Czyż nie można by iść o zakład — postawić tysiąc przeciw jednemu — iż nie było dnia, żeby przynajmniej jeden z tych chłopców nie ukrywał się w tym cienistym przybytku, nie zasiadał na tym naturalnym tronie? Kto by wahał się iść o taki zakład, ten albo nigdy nie był chłopcem, albo zapomniał chłopięcej natury. Powtarzam, iż jest niesłychanie trudno pojąć, w jaki sposób owe przedmioty mogły pozostawać nie postrzeżone w gęstwinie dłużej niż jeden lub dwa dni; istnieją zatem, wbrew dogmatycznej bezmyślności publicysty z „Le Soleil", wszelkie powody do przypuszczeń, iż je tam względnie dość późno umieszczono.

Istnieją wszelako jeszcze inne argumenty, znacznie mocniejsze od już przytoczonych, które każą wierzyć, że je tam podłożono. Zwróć, proszę cię,

uwagę na nader sztuczne rozmieszczenie tych przedmiotów. Na górnym kamieniu widniała biała spódniczka; na drugim szarfa jedwabna; porozrzucane dokoła leżały rękawiczki, parasolka i chustka z napisem „Maria Rogêt". Jest to właśnie takie rozmieszczenie, jakiego naturalnie dokonałby ktoś niezbyt przenikliwy, a chcący porozkładać te przedmioty naturalnie. Atoli nie jest to bynajmniej rozmieszczenie naprawdę naturalne. Wolałbym raczej widzieć wszystkie te rzeczy leżące na ziemi i podeptane nogami. W ciasnocie tego ustronia byłoby rzeczą prawie niemożliwą, aby spódniczka i szarfa pozostały nie poruszone na kamieniach śród kotłowaniny, wynikłej z szamotania się wielu osób. „Znać było — jak powiadają — ślady walki; ziemia była zdeptana, krzewy połamane", ale spódniczka i szarfa leżały, gdy je znaleziono, jak na półkach. „Strzępy odzieży, zwieszające się z krzewów, miały około trzech cali szerokości i sześciu cali długości. Jeden z nich był kawałkiem rąbka od sukni i wykazywał ślady naprawek. Wyglądały jak oddarte". W tym miejscu „Le Soleil" posługuje się bezwiednie zwrotem nader podejrzanym. Opisane kawałki wyglądają istotnie „jak oddarte", ale ręcznie i umyślnie. Jest to wypadek nadzwyczaj rzadki, by pod działaniem jakiegoś kolca taki kawałek jak ten, o którym mowa, „oddzierał się" od odzieży. Z właściwości naturalnych wszelkiej tkaniny wynika, że gwóźdź lub kolec, który o nią zaczepi, rozdziera ją prostokątnie — rozdziela ją dwiema szczelinami po-

dłużnymi, pozostającymi w stosunku do siebie pod kątem prostym i stykającymi się u wierzchołka, to jest w tym miejscu, gdzie kolec zaczepił; natomiast jest rzeczą prawie niemożliwą wyobrazić sobie kawałek „oddarty". Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem, i ty także. By odedrzeć kawałek tkaniny, trzeba niemal zawsze dwu sił określonych, działających w różnych kierunkach. Jeżeli tkanina ma dwa brzegi — jak na przykład chustka do nosa — i chce się udrzeć z niej kawałek, to w takim razie, lecz tylko w takim razie, wystarcza jedna siła. Wszelako w wypadku obecnym chodzi o suknię, która ma tylko jeden brzeg. Wydrzeć kawałek ze środka, gdzie nie ma brzegu, można by tylko jakimś cudownym sposobem, przy współdziałaniu wielu kolców, nigdy zaś jednego. Atoli nawet tam, gdzie jest brzeg, potrzeba by dwu kolców, z których jeden działałby w dwu kierunkach określonych, a drugi w jednym. Przy tym należy przyjąć, że brzeg jest nie obrębiony. Jeżeli jest obrębiony, to prawie nie ma o czym mówić. Widzimy zatem, jak znaczne i liczne nastręczają się przeszkody, gdy chodzi o oddarcie kawałka przez zwyczajne „ciernie"; tymczasem żąda się od nas, byśmy uwierzyli, że w ten sposób oddarł się nie jeden kawałek, lecz kilka. Przy tym jeden z nich był rąbkiem od sukni! Zaś drugi częścią zakładki, nie rąbkiem — to znaczy, że był wydarty zupełnie przez ciernie ze środka, a nie ze skraja spódnicy. Są to, zdaniem moim, rzeczy takie, że można wybaczyć, jeśli im się nie wierzy;

wszelako, razem wzięte, stanowią snadź mniej zastanawiający motyw podejrzenia niż ta osłupiająca okoliczność, że przedmioty owe mogły być pozostawione w chaszczach przez zabójców, którzy byli o tyle przezorni, iż usunęli zwłoki. Nie zrozumiałeś mnie jednakowoż, jak należy, jeżeli przypuszczasz, jakobym przeoczył, iż gęstwina ta była widownią zbrodni. Mogło tam stać się coś złego lub, co prawdopodobniejsze, zaszło coś u Madame Deluc. Lecz w zasadzie jest to szczegół podrzędniejszego znaczenia. Podjęliśmy się odszukać nie miejsce, ale sprawców zbrodni. Wszystko to, co przytoczyłem, aczkolwiek było nader drobiazgowe, nie miało przecież nic innego na celu, jak wykazać ci najpierw niedorzeczność stanowczych i pochopnych zapewnień publicysty z „Le Soleil", następnie zaś, i przede wszystkim, poprowadzić cię jak najprostszą drogą ku dalszemu, wątpliwemu zagadnieniu, czy to zabójstwo było dziełem szajki, czy też nie było.

Ograniczę się w tej sprawie do napomknienia o wstrząsających szczegółach, zeznanych przez chirurga na śledztwie. Dość powiedzieć, iż jego wnioski, które dostały się do wiadomości publicznej, a dotyczyły ilości rzezimieszków, przez wszystkich wybitniejszych anatomów paryskich zostały słusznie ośmieszone jako błędne i wszelkiej pozbawione podstawy. Nie dlatego, żeby nie mogło się stać, jak wywnioskował, lecz że nie było przesłanek do tego wniosku — a czyż nie było ich więcej do innego?

Zastanówmy się teraz nad „śladami walki" i zapytajmy, czego tymi śladami chciano by nam dowieść. Szajki. Lecz czyż nie dowodzą one raczej nieobecności szajki? Jakaż to walka — walka tak zacięta i przewlekła, iż pozostawiła ślady na wszystkie strony — mogła się odbyć między słabą i bezbronną dziewczyną a szajką domniemanych rzezimieszków? Ująłoby ją w milczeniu kilka tęgich ramion i wszystko byłoby skończone. Ofiara musiałaby poddać się z bezwzględną uległością ich woli. Uprzytomnijże sobie teraz, iż argumenty, przemawiające przeciwko temu, jakoby ta gęstwina była widownią zbrodni, tylko o tyle mają zastosowanie, o ile mówi się o niej jako o widowni zbrodni, popełnionej przez więcej niż jednego osobnika. Skoro jednak wyobrazimy sobie tylko jednego napastnika, to wówczas — lecz jeno wówczas — możemy zrozumieć walkę tak zaciętą i tak upartą, iż mogła pozostawić widoczne „ślady".

I jeszcze jedno. Napomknąłem już o podejrzeniach, jakie wynikają z tej okoliczności, iż rzeczone przedmioty mogły pozostać nietknięte w gęstwinie, gdzie je znaleziono. Wydaje się rzeczą prawie niemożliwą, by te dowody winy pozostawiono tam przypadkowo. Nie zbywało na przytomności umysłu (jak się przypuszcza), by zabrać zwłoki; natomiast dowody, bardziej istotne niż te zwłoki (których rysy mogły szybko zmienić się pod wpływem rozkładu), porzucono wyzywająco na widowni zbrodni: mam na myśli chustkę z nazwiskiem zmarłej. Jeżeli zdarzył się taki przypadek, to nie

szajce. Możemy go sobie wyobrazić tylko jako przypadek, który spotkał jednostkę. Zastanówmy się! Jakiś osobnik dopuścił się zbrodni. Jest sam z widziadłem zmarłej. Przejmuje go grozą to, co leży przed nim nieruchomo. Szał namiętności minął i w jego opustoszałym sercu jawi się odruchowy lęk przed popełnionym czynem. Nie ma tej otuchy, jaką napawa zawsze obecność towarzyszy. Jest sam z zabitą. Drży i truchleje. Trzeba jednakże zająć się trupem. Niesie go ku rzece, lecz pozostawia za sobą inne dowody winy, gdyż jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą zabrać wszystko od razu. Łatwiej będzie wrócić po to, co jeszcze zostało. Wszelako trwoga jego zwielokrotnia się w tym uciążliwym pochodzie. Dokoła niego szemrzą głosy życia. Raz po raz słyszy lub zdaje się mu, że słyszy stąpanie jakiegoś przechodnia. Przerażają go nawet światła, co jarzą się od strony miasta. Jednakże w końcu, po długich i częstych przystankach, pełnych niewysłowionej grozy, staje nad zbrzeżem rzeki i pozbywa się swego upiornego brzemienia, posługując się zapewne łodzią. Ale teraz — czyż są takie skarby świata, czy istnieją takie groźby zemsty, które by mogły skłonić tego samotnego zbrodniarza, żeby tą samą znojną i niebezpieczną ścieżyną powrócił do owej gęstwiny i do wylęgłych w niej wspomnień, co mrożą krew w żyłach? Nie, niechaj będzie, co chce — on nie wróci! Nie mógłby powrócić, chociażby nawet chciał. Jedyna jego myśl — to myśl o natychmiastowej ucieczce. Odwraca się raz na zawsze od

tych straszliwych zarośli i pierzcha, jak przed pościgiem zbliżającej się kaźni.

Jakże inaczej działoby się z szajką! Sama ilość dodałaby im odwagi, jeżeli w ogóle zbywało jej kiedykolwiek skończonym szubienicznikom, a tylko z takich skończonych szubieniczników mogła się składać owa domniemana szajka. Sama ich ilość — powtarzam — zapobiegłaby owej osłupiałej i nieopamiętanej grozie, która wedle mego mniemania obezwładniałaby odosobnioną jednostkę. Jeżeli przypuścimy, że nie dopatrzył czegoś jeden, nie dopatrzyło dwu lub trzech, to na pewno dopatrzył czwarty. Nie pozostawiliby nic po sobie, gdyż było ich tylu, że mogli od razu zabrać wszystko. Nie byliby potrzebowali wracać.

Zastanów się teraz nad tą okolicznością, że ze zwierzchniego odzienia trupa „wydarto od samego dołu aż do pasa strzęp szerokości jednej stopy, który okręcono trzy razy dokoła kibici i zadzierzgnięto na krzyżu jak gdyby w pętlę". Uczyniono to w oczywistym zamiarze sporządzenia czegoś w rodzaju rączki, za którą było można nieść zwłoki. Czyżby kilku ludziom przyszło do głowy posługiwać się podobnym urządzeniem? Dla trzech czy czterech członki trupa przedstawiałyby ujęcie nie tylko dostateczne, lecz możliwie najdogodniejsze. Jest to pomysł jednostki, który naprowadza nas na ten szczegół, że „między gęstwiną a rzeką parkan był powalony, a na ziemi widniał ślad jak gdyby od jakiegoś wielkiego ciężaru, który wleczono tamtędy". Ale czyżby kilku ludzi zadawało

sobie zbyteczny trud walenia parkanu, by przeciągnąć na drugą stronę trupa, skoro mogli w oka mgnieniu podnieść go w górę i przerzucić przez każdą zaporę? I czyżby kilku ludziom chciało się wlec w ten sposób zwłoki, by pozostały po nich widoczne ślady?

Wypadnie nam tu wziąć pod uwagę pewien szczegół z „Le Commercial". Nad szczegółem tym już nieco się zastanawiałem. „Kawałek spódniczki nieszczęśliwej dziewczyny — pisze ów dziennik — długi na dwie stopy i szeroki na jedną, oddarto, okręcono dokoła jej szyi i zawiązano na karku, prawdopodobnie w tym celu, by stłumić jej krzyki. Uczynili to złoczyńcy, którzy nie mieli przy sobie nawet chustki do nosa".

Zaznaczyłem już przedtem, że skończony opryszek nie obywa się nigdy bez chustki do nosa. Wszelako nie o to obecnie mi chodzi. Że nie dla braku chustki posłużono się tą opaską — jak sobie wyobraża „Le Commercial" — świadczy dostatecznie chustka pozostawiona w gęstwinie. Że nie zamierzano „tłumić" w ten sposób „krzyków", dowodzi ta okoliczność, iż użyto opaski, zamiast użyć czegoś, co by znacznie lepiej odpowiadało temu zamierzeniu. Natomiast zeznania śledcze wyrażają się o owym strzępie, iż „wisiał luźno dokoła jej szyi i był zawiązany na mocny węzeł". Słowa te są dość ogólnikowe, lecz różnią się istotnie od określeń „Le Commercial". Strzęp ten miał osiemnaście cali szerokości, więc złożony lub skręcony podłużnie mógł utworzyć mocną taśmę, aczkol-

wiek był z muślinu. Jakoż przekonano się istotnie, że był skręcony. Mój wniosek brzmi, jak następuje. Samotny zbrodniarz, poniósłszy zwłoki (z gęstwiny czy skądinąd, za pomocą opaski okręconej dokoła kibici) na pewną odległość, przekonał się, że ten sposób dźwigania przewyższa jego siły. Postanowił zatem wlec swe brzemię — a są ślady, że wleczono jakiś ciężar. By ten zamiar wykonać, trzeba było przytwierdzić coś w rodzaju powroza do którejś kończyny. Najwłaściwiej było uwiązać dokoła karku, gdyż nie mógł ześliznąć się przez głowę. Zabójca zamierzał niewątpliwie posłużyć się opaską, okręconą dokoła lędźwi. I byłby jej użył, gdyby nie to, że opasywała trupa, że przeszkadzała mu pętla, na którą ją zadzierzgnął, i że „niezupełnie była oddarta" od odzieży. Łatwiej było udrzeć nowy pas ze spódniczki. Udarł go, uwiązał dokoła szyi i powlókł w ten sposób swą ofiarę aż na brzeg rzeki. Że tej „opaski", jedynej, jaka dała się sporządzić z trudem i stratą czasu, a jednak niezupełnie odpowiadała swemu celowi — że tej opaski w ogóle użyto, świadczy to, iż konieczność jej użycia wyniknęła z okoliczności, które się wytworzyły, kiedy chustki do nosa nie było już pod ręką, to znaczy, kiedy winowajca — jak to wyobrażaliśmy sobie — wynurzył się już z gęstwiny (o ile z niej wyszedł) i znajdował się w drodze między gęstwiną a rzeką.

Ale odpowiesz na to, iż Madame Deluc wyraźnie nadmienia w swych zeznaniach o obecności szajki w pobliżu tej gęstwiny i mniej więcej o tej samej

porze, kiedy nastąpiło zabójstwo. Przyznaję. Nie wątpię nawet, iż cały tuzin szajek, podobnych do opisanej przez Madame Deluc, mógł wałęsać się w pobliżu Barrière du Roule podczas owej tragedii. Atoli szajka, która ściągnęła na siebie stanowczą niechęć, objawioną w nieco spóźnionych i mocno podejrzanych zeznaniach Madame Deluc, wedle oświadczenia tej zacnej i w rzeczach sumienia drażliwej matrony, jedynie najadła się u niej ciastek i pokrzepiła się u niej wódką, nie pomyślawszy o zapłacie. *Et hinc illae irae!* *

Jakież jest dokładne brzmienie zeznania Madame Deluc? „Pojawiła się szajka opryszków, którzy zachowywali się hałaśliwie, nie zapłacili za potrawy i napoje, poszli tą samą drogą co młodzieniec i dziewczyna, powrócili do gospody, kiedy miało się ku zmierzchowi, przeprawili się z powrotem przez rzekę jak gdyby z wielkim pośpiechem".

Otóż ten „wielki pośpiech" wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wydał się jeszcze większy oczom Madame Deluc, kiedy rozmyślała, smętna i bolejąca, o pochłoniętych ciastkach i piwie, do ostatniej chwili żywiąc nikłą nadzieję na zapłatę. Bo w innym razie dlaczegóż by, kiedy miało się ku zmierzchowi, przejmowała się tak bardzo tym pośpiechem? Zaiste, nie można się dziwić, że nawet szajka opryszków śpieszy się z powrotem do

---

* *Et hinc illae irae* (łac.) — i stąd te gniewy.

domu, gdy trzeba przepłynąć wielką rzekę w wątłych łodziach przy zapadającej nocy i nadciągającej burzy.

Powiadam: zapadającej, gdyż noc jeszcze nie zapadła. Miało się dopiero ku zmierzchowi, kiedy nieprzyzwoity pośpiech tych „opryszków" skaził czyste spojrzenie Madame Deluc. Aliści wmawia się w nas, że właśnie tego samego wieczora Madame Deluc i jej najstarszy syn „usłyszeli krzyki kobiece w pobliżu gospody". A jakimiż to słowy określa Madame Deluc tę chwilę wieczorną, kiedy owe krzyki się rozległy? Było to wnet po nastaniu ciemności. Jednakże „wnet po nastaniu ciemności" oznacza co najmniej ciemność, natomiast przez słowa „miało się ku zmierzchowi" należy bezsprzecznie rozumieć światło dzienne. Jest zatem rzeczą najzupełniej jasną, iż szajka opuściła już Barrière du Roule, kiedy Madame Deluc „przesłyszały się" owe krzyki. I aczkolwiek we wszystkich licznych sprawozdaniach ze śledztwa te dwa powiedzenia powtarzają się nieodmiennie i jota w jotę tak samo, jak je przytoczyłem w rozmowie z tobą, to jednak żaden dziennik ani żaden urzędnik policyjny nie zauważył dotychczas ogromnej sprzeczności, jaka między nimi zachodzi.

Dorzucę jeszcze tylko jeden argument przeciwko owej szajce; wszelako jest to argument, który — przynajmniej w moim przekonaniu — jest wprost nieodparty. Jeżeli się zważy szczodrą nagrodę i zupełną bezkarność, przyrzeczoną publicznie za wydanie w ręce władz zbrodniarzy, to niepodobna

ani przez chwilę pomyśleć, by nie znalazł się ktoś śród szajki spodlonych rzezimieszków czy też innej gromady ludzkiej, który by nie zdradził swych współwinowajców. Uczestnicy takich szajek nie tyle dbają o nagrody i drżą o swe ocalenie, co lękają się zdrady. Zdradzają sami chętnie i rychło, by nie być zdradzonymi. Że tajemnicy nie ujawniono, jest to najlepszym dowodem, iż istotnie jest ona tajemnicą. Okropność tego piekielnego czynu znana jest jednej lub dwu istotom ludzkim i Bogu.

Streśćmy teraz szczupły, lecz niezawodny plon naszej długiej analizy. Doszliśmy do przeświadczenia, iż albo targnięto się na życie pod dachem Madame Deluc, albo dopuszczono się zbrodni w gęstwinie koło Barrière du Roule i że sprawcą był kochanek lub przynajmniej zaufany i tajny towarzysz zmarłej. Ma on cerę śniadą. Ta cera, pętla opaski oraz „węzeł” zadzierzgnięty na wstążce od kapelusza każą domyślać się marynarza. Poufałość jego ze zmarłą, lekkomyślną, lecz bynajmniej nie znikczemniałą dziewczyną, dowodzi, iż jest czymś więcej niż zwykłym marynarzem. Za przypuszczeniem tym również przemawiają dobrze napisane i natarczywe komunikaty, rozesłane do dzienników. Przypomniany przez „Le Mercure” szczegół o pierwszej ucieczce każe skojarzyć tego marynarza z owym „oficerem marynarki”, o którym wiadomo, iż pierwszy sprowadził nieszczęśliwą na złe drogi.

I oto, we właściwą porę, nasuwa się pytanie, czym tłumaczyć sobie przewlekłą nieobecność

tego człowieka o śniadej cerze. Trzeba tu zaznaczyć, iż cera jego jest smagła i śniada; nie była to zwykła śniadość, skoro zarówno dla Valence'a, jak dla Madame Deluc stanowiła jedyny szczegół zapamiętany. Ale dlaczego ten człowiek jest nieobecny? Czy zginął z rąk szajki? Jeżeli tak, to czemuż pozostały ślady tylko po zabitej dziewczynie? Widownia obu zabójstw musiałaby być oczywiście ta sama. I gdzie są jego zwłoki? Zabójcy byliby z obojgiem postąpili najprawdopodobniej w ten sam sposób. Atoli mógłby ktoś powiedzieć, że ten człowiek żyje, lecz nie chce, żeby wiedziano o nim, z obawy, iż mógłby być posądzony o zabójstwo. Wzgląd ten mógłby oddziaływać na niego teraz — w obecnym, późnym okresie — kiedy w śledztwie się okazało, iż widziano go w towarzystwie Marii, ale nie mógł mieć dlań znaczenia w okresie zbrodni. Pierwszy odruch niewinnego człowieka nakazywałby mu donieść o przestępstwie, przyczynić się do odszukania złoczyńców. Skłoniłaby go do tego bodaj roztropność. Widziano go z dziewczyną. Przepływał z nią rzekę na odkrytym promie. Wskazanie zabójców wydawałoby się w takich okolicznościach nawet idiocie najpewniejszym i jedynym sposobem uniknięcia podejrzeń. Nie możemy przypuszczać, żeby nocą owej pamiętnej niedzieli nie tylko był niewinny, lecz także nic nie wiedział o popełnionej zbrodni. A jednak tylko w takim razie można by zrozumieć, dlaczego zaniedbał, jeżeli żyje, wskazać zabójców.

Jakimiż środkami rozporządzamy, by dowiedzieć się prawdy? Środki te będą się pomnażały i nabierały wyrazistości w miarę dalszych naszych postępów. Przesiejmy przez gęste sito historię pierwszej ucieczki. Poznajmy dokładnie owego „oficera", okoliczności, w jakich obecnie się znajduje, i co porabiał, kiedy dokonywała się zbrodnia. Porównajmy starannie rozesłane do wieczornych dzienników różne komunikaty, których zadaniem było zwalić odpowiedzialność na szajkę. Zrobiwszy to, porównajmy styl, pismo i wygląd ich rękopisów z rękopisami listów rozesłanych poprzednio do dzienników porannych, a oskarżających zapamiętale Mennais'go. Kiedy zaś to wszystko będzie już zrobione, przystąpmy do porównania tych komunikatów ze znanymi rękopisami tegoż oficera. Przesłuchajmy ponownie Madame Deluc, jej malców i konduktora omnibusu, Valence'a, ażeby dowiedzieć się więcej o powierzchowności i zachowaniu się „człowieka o śniadej cerze". Za pomocą pytań umiejętnie zadawanych wydobędzie się niewątpliwie od któregoś z tych świadków wiadomości dotyczące tego szczegółu (albo też innych) — wiadomości, z których posiadania ci świadkowie sami nie zdają sobie sprawy. Zajmijmy się potem sprawą łodzi złowionej przez przewoźnika w poniedziałek rano, dnia dwudziestego trzeciego czerwca, a zabranej następnie przez kogoś z urzędu portowego bez wiedzy służbowego urzędnika i bez steru, na krótko przed znalezieniem trupa. Przy odpowiedniej przezorności i wytrwałości zdołamy

niezawodnie wyśledzić tę łódź, gdyż pozna ją zapewne przewoźnik, który ją znalazł, a ponadto mamy ster w ręku. Steru żaglowej łodzi nie pozostawiłby na przepadłe człowiek, który ma czyste sumienie. Nasuwa się tu jeszcze jedno zagadnienie. Nie było zawiadomienia publicznego o znalezieniu tej łodzi. Po cichu ją sprowadzono do urzędu portowego i po cichu ją stamtąd zabrano. Czymże to jednak wytłumaczyć sobie, iż jej właściciel czy dzierżawca zdołał już we wtorek rano, bez zawiadomienia publicznego, dowiedzieć się, gdzie znajduje się łódź złowiona w poniedziałek — jeżeli nie przyjmiemy, że pozostaje on w jakimś stosunku do marynarki — w jakimś stosunku, osobistym i stałym, ułatwiającym znajomość drobiazgowych spraw i miejscowych nowinek?

Mówiąc o samotnym złoczyńcy, wlokącym swe brzemię ku rzece, napomknąłem już, że prawdopodobnie posłużył się łodzią. Możemy więc domyślać się, że Marię Rogêt wyrzucono z łodzi. Odbyło się to najzupełniej po prostu. Zwłok niepodobna było powierzyć płytkim wodom przybrzeżnym. Osobliwsze znamiona na plecach i barkach ofiary przypominają żebrowania na dnie łodzi. Umacnia w tym przeświadczeniu także ta okoliczność, iż do zwłok nie przywiązano ciężaru. Byłyby obciążone, gdyby je wrzucono z brzegu. Nie przytwierdzono ciężarów prawdopodobnie dlatego, iż zabójca nie był dość przezorny, by zaopatrzyć się w nie, zanim odbił od brzegu. Wrzucając trupa do wody, zauważył niezawodnie swe przeoczenie, ale

nie miał nic pod ręką, by temu zaradzić. Wolał narazić się na wszelkie niebezpieczeństwa, niż powrócić do straszliwego brzegu. Pozbywszy się swego upiornego brzemienia zabójca podążył pośpiesznie ku miastu. Wylądował zapewne w jakiejś niepozornej przystani. Czy jednak pomyślał o zabezpieczeniu łodzi? Zbyt się śpieszył, żeby zajmować się takimi rzeczami. Przy tym, przywiązując łódź w przystani, byłby doznawał wrażenia, iż przytwierdza oto dowód, który go obwini. Najprostszą jego myślą było odtrącić możliwie najdalej od siebie wszystko, co miało jakąkolwiek łączność z jego zbrodnią. Nie tylko sam pragnął ujść z przystani, ale też nie mógł pozwolić, żeby tam łódź pozostała. Najpewniej odepchnął ją od brzegu i puścił z prądem.

Podążajmy dalej za naszą wyobraźnią. Nazajutrz rano nikczemnika ogarnął niewysłowiony lęk, gdy zobaczył, że łódź przytrzymano i odstawiono do miejsca, dokąd codziennie uczęszczał — do miejsca, w którym snadź musiał bywać z obowiązku. Następnej nocy zabrał ją nie odważając się upomnieć o ster. Gdzież jest zatem ta łódź, pozbawiona steru? Najpierwszym naszym zadaniem będzie ją odszukać. Zaświta jutrzenka naszego powodzenia, skoro tylko czegoś się o niej dowiemy. Z chyżością, która nas samych zadziwi, poprowadzi nas łódź ta do człowieka, który posłużył się nią w nocy owej złowrogiej niedzieli. Dowody będą wynikały z dowodów i wpadniemy na trop zbrodniarza.

Dla powodów, których nie wymieniamy, lecz które są aż nadto jawne dla całej rzeszy naszych czytelników, pozwalamy sobie pominąć tę część dostarczonego nam rękopisu, która zawiera szczegółowy opis śledztwa, przeprowadzonego wedle nikłych na pozór poszlak, wykrytych przez Dupina. Uważamy tylko za właściwe nadmienić, że cel pożądany osiągnięto i że prefekt wywiązał się sumiennie, acz niechętnie, ze swej umowy z Chevalierem. Mr Poe kończy swą pracę następującymi słowy*:

— Rozumie się samo przez się, iż mówię o zbiegu okoliczności i niczym więcej. To, co powiedziałem poprzednio o tym przedmiocie, winno wystarczyć. W głębi duszy nie wierzę w rzeczy nadprzyrodzone. Żaden człowiek myślący nie zaprzeczy, iż czym innym jest Bóg, a czym innym przyroda. Że Bóg, stworzywszy przyrodę, może nią wedle swej woli władać i ją przekształcać, to nie ulega również wątpliwości. Powiadam „wedle swej woli", gdyż jest to zagadnienie woli, nie zaś, jak niedorzeczna logiką przypuszcza, potęgi. Nie chodzi o to, jakoby Bóstwo nie mogło zmieniać swych praw, lecz o to, iż bluźnimy Mu, wyobrażając sobie, jakoby zmiany były potrzebne. Od samego początku prawa te były postanowione w ten sposób, iż ogarniały wszechmożliwości, jakie by mogła przynieść z sobą Przyszłość. Dla Boga wszystko jest Teraźniejszością.

Powtarzam zatem, iż mówię o tych rzeczach jedynie jako o zbiegach okoliczności. I dodam jesz-

---

* Przypisek redakcji czasopisma, w którym ta praca po raz pierwszy się ukazała.

cze: opowieść moja wykazuje, iż między dolą nieszczęsnej Marii Cecylii Rogers, przynajmniej o ile dola ta jest nam znana, a dolą niejakiej Marii Rogêt aż po pewien okres jej historii zachodzi tak przedziwnie dokładna równoległość, iż rozum pogrąża się w zakłopotaniu. Powiadam, iż zaznacza się to nader wyraziście. Wszelako niechaj nikt ani na chwilę nie przypuszcza, iż snując żałosną opowieść o Marii od chwili co tylko wspomnianej i śledząc osłaniającą ją tajemnicę aż do jej rozwikłania, zamierzałem skrycie uwydatnić rozciągłość tej równoległości lub chociażby poddać myśl, jakoby zarządzenia, poczynione w Paryżu celem wykrycia zabójcy gryzetki, albo też zarządzenia, oparte na jakichkolwiek podobnych podstawach rozumowych, mogły dać podobne wyniki.

Albowiem, o ile chodzi o drugą część tego przypuszczenia, trzeba zważyć, iż najdrobniejsza odmienność okoliczności w obu zdarzeniach mogłaby stać się przyczyną najzupełniej błędnego wnioskowania, gdyż wywołałaby zupełną rozbieżność między dwoma prądami wypadków. Stałoby się podobnie jak w arytmetyce, gdzie błąd, który sam w sobie może być nieznaczny, w dalszym przebiegu skutkiem oddziaływania wielokrotności staje się w końcu przyczyną wyniku niezmiernie odbiegającego od prawdy. Jeżeli zaś powrócimy jeszcze do części pierwszej, to nie można zapominać, że tenże sam rachunek prawdopodobieństwa, na który się powoływałem, zabrania wszelkiej myśli o rozciąganiu tej równoległości — zabrania jej

ze stanowczością niezłomną i surową, ile że zgodność ta posiadła już swą ścisłość i rozciągłość. Jest to jedna z tych zasad nieprawidłowych, które pozornie odwołują się do myśli nie mającej nic wspólnego z matematyką, a jednak w całej pełni uznane być mogą tylko przez matematyków. Nie ma nic, na przykład, trudniejszego, niż przekonać nie wtajemniczonego w te zagadnienia czytelnika, że jeżeli komuś grającemu w kości zdarzy się wyrzucić raz po raz szóstkę, to można założyć się o największą stawkę, iż za trzecim razem szóstki nie da się wyrzucić. Pomysł takiego następstwa zazwyczaj odtrąca intelekt od razu. Nie wydaje się rzeczą możliwą, żeby dwa rzuty, już dokonane i pogrążone bezwzględnie w Przeszłości, mogły mieć wpływ na rzut, który istnieje dopiero w Przyszłości. Traf wyrzucenia szóstki wydaje się dokładnie takim samym, jak kiedy indziej — to znaczy, zależnym tylko od wpływu różnych innych rzutów, które można wykonać kością. Refleksja ta ma pozory takiej niezawodnej oczywistości, iż przecząc jej, spotyka się częściej drwiący uśmiech niż odruch pełnej poszanowania uwagi. Tego błędu — grubego błędu, trącącego szkodliwością — nie mogę wykazać w granicach, które na teraz sobie wytyczyłem; zresztą umysłom filozoficznym nie potrzeba go wykazywać. Dość będzie, gdy powiem, że stanowi on cząstkę nieskończonych szeregów pomyłek, które powstają na drodze Rozumu skutkiem właściwej mu skłonności do szukania prawdy w szczegółach.

Przy pierwotnym ogłoszeniu drukiem opowiadania o „Marii Rogêt" dołączone obecnie przypiski mogły wydawać się zbyteczne. Upłynęło już jednak kilka lat od czasu, kiedy zdarzyła się tragedia, która posłużyła temu opowiadaniu za osnowę, i okazała się potrzeba umieszczenia ich jako też dodania kilku słów wyjaśniających myśl przewodnią. W pobliżu nowego Jorku padła ofiarą zbrodni młoda dziewczyna, Maria Cecylia Rogers, i aczkolwiek śmierć ta wywołała silne i długotrwałe zaniepokojenie, spowijającej ją tajemnicy nie zdołano przeniknąć do chwili, kiedy niniejsza nowela została napisana i pojawiła się w druku (listopad 1842). Pod płaszczykiem opowieści o losach gryzetki paryskiej autor wdał się tu w drobiazgowy wywód szczegółów istotnych, jako też równoległych z nimi szczegółów nieistotnych rzeczywistego zabójstwa Marii Rogers. W ten sposób wszelkie dowodzenie, oparte na zmyśleniu, daje się zastosować do prawdy, zaś celem było właśnie poszukiwanie prawdy.

„Tajemnica Marii Rogêt" była pisana z dala od widowni zbrodni i bez żadnych innych środków

śledczych prócz zebranych przygodnie dzienników. Wiele zatem szczegółów uszło uwagi autora, który byłby się z nimi zapoznał, gdyby był na miejscu i zajrzał osobiście do wszystkich zakątków. Wypada jednakowoż nadmienić, że zeznania dwu osób (z których jedną jest Madame Deluc z noweli), poczynione w różnych czasach i na długo przed ogłoszeniem opowieści, potwierdziły w zupełności nie tylko wniosek ostateczny, lecz bezwzględnie wszystkie ważniejsze szczegóły hipotetyczne, które do wyprowadzenia tego wniosku posłużyły (E.A.P.).

W PRZYSZŁOŚCI UKAŻĄ SIĘ:

J. BRONIEWSKA
O człowieku, który się kulom nie kłaniał

J. PRZYMANOWSKI
Czterej pancerni i pies t. I, cz. 1 i 2

J. IWASZKIEWICZ
Dziewczyna i gołębie

G. KELLER
Romeo i Julia na wsi

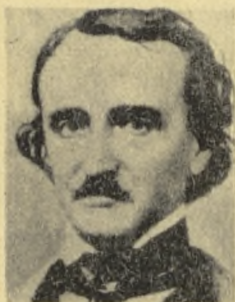
H. BALZAC
Znakomity Gaudissart

Wydanie I masowe

„Książka i Wiedza", Warszawa 1970 r. Nakład 66.400+260 egz. Obj. ark. wyd. 4,3. Obj. ark. druk. 7 (4,1). Papier druk. sat. kl. VII, 60 g, rola 63 cm z Fabryki Papieru w Głuchołazach. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. nr 2498/69. H-5. Cena zł 4.—

Siedem tysięcy siedemset siedemdziesiąta ósma publikacja „KiW"

Cena zł 4



EDGAR ALLAN POE (1809—1849), amerykański poeta, nowelista i krytyk literacki, nazywany „geniuszem niesamowitości". Syn aktorów, osierocony w 3 roku życia, wychowany w domu Johna Allana. Przez całe życie walczył z nędzą, nałogiem alkoholizmu i narkomanią. Rozgłos Poego rozpoczął się od 1833 r., kiedy otrzymał nagrodę konkursową za *Rękopis znaleziony w butelce.*

Nowele Poego, doskonałe, z precyzyjną wirtuozerią zbudowane, wyrastają z chorobliwej wprawdzie, lecz niezmiernie płodnej fantazji pisarza, ukazują świat śmierci i cierpienia, zbrodni i nadrzeczywistych przygód.

W Polsce ukazały się m. in. takie utwory Poego: *Opowieść Gordona Pyma*, *Arabeski i Groteski*, *Opowiad*

